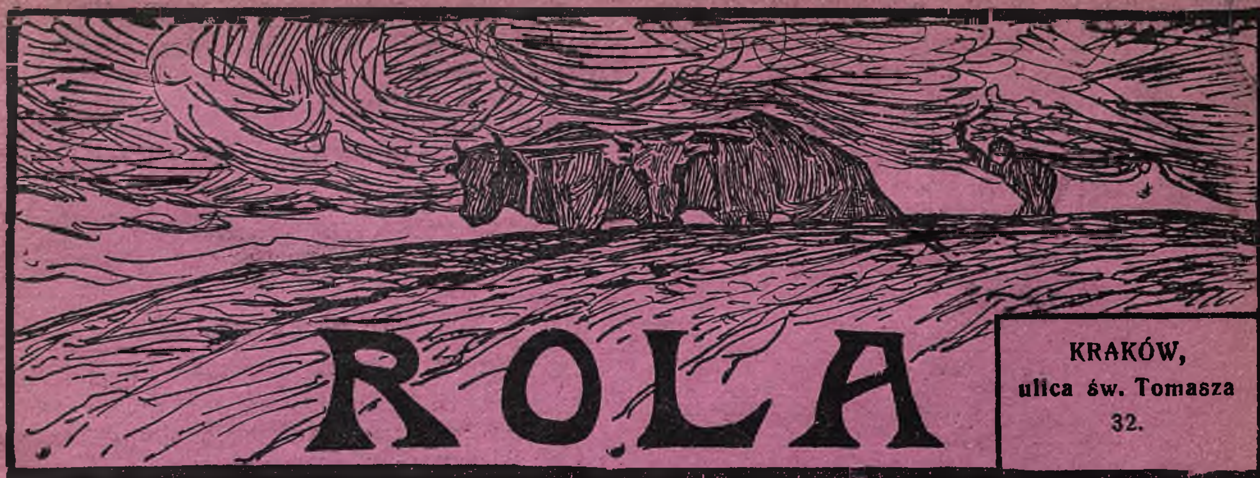
Numer 1. Nal. poczt. opł rycz. Dnia 2 Stycznia 1927.



KRAKÓW,
ulica św. Tomasza
32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli“ lecz: Konto pocztowe 406.301 Kraków.



Zastosowali się.

Pewien katecheta, chcąc w dzieci wpoić roztropność, radził im, żeby w ważnych okolicznościach życia liczyły zawsze do stu, zanim przemówią.

Skończywszy lekcję stanął przy kominku, ale po chwili zauważył, że dzieci liczą coś po cichu.

Nagle naraz wszyscy wykrzyknęli:

— Dziewięćdziesiąt dziewięć! sto! Księdza katechety sutanna pali się z tyłu!



U fotografa.

— Chciałabym dać fotografować moje dziecko ale nie wiem, w jakiem ubraniu.

— Dziecko najlepiej w koszulce.

— Fe, jak też pan coś podobnego może proponować!

— A ile lat ma to dziecko?

— Ośmnaście!...



Trafna przepowiednia.

— Co ci ta stara cyganka przepowiedziała?

— Że wkrótce poniosę wielką stratę.

— No i sprawdziło się?

— Tak, zaraz po jej wyjściu spostrzegłem się, że mi brak dwóch kur i indyka.



Uderz w stół a nożyce się odezwą...

Szła pijana stara kobieta drogą. Obok stawiali cieśle dom a mieli dwie piły: starą i nową. Jeden zapytał drugiego:

— Gdzie stara piła?

Kobieta na to:

— A wam co do tego? Gdziem piła tom piła, alem zapłaciła.



W kuchni.

— Cóż, to żołnierz u ciebie, Anusiu, mówiłaś mi przecież, że nie masz żadnych znajomych.

— Bo, to proszę pani nie znajomy, on dopiero przyszedł zaznajomić się.



Żyd — a zegarek.

— Jaka jest różnica między żydem a zegarkiem?

— Różnica jest taka, że zegarek da się każdemu naciągnąć, a żyd nikomu.



Dał do poznania.

Szef: A więc Krause nie chce już brać od nas towarów? Czy powiedział to panu wyraźnie?

Agent: Wyraźnie nie powiedział, ale dał mi to poniekąd do poznania.

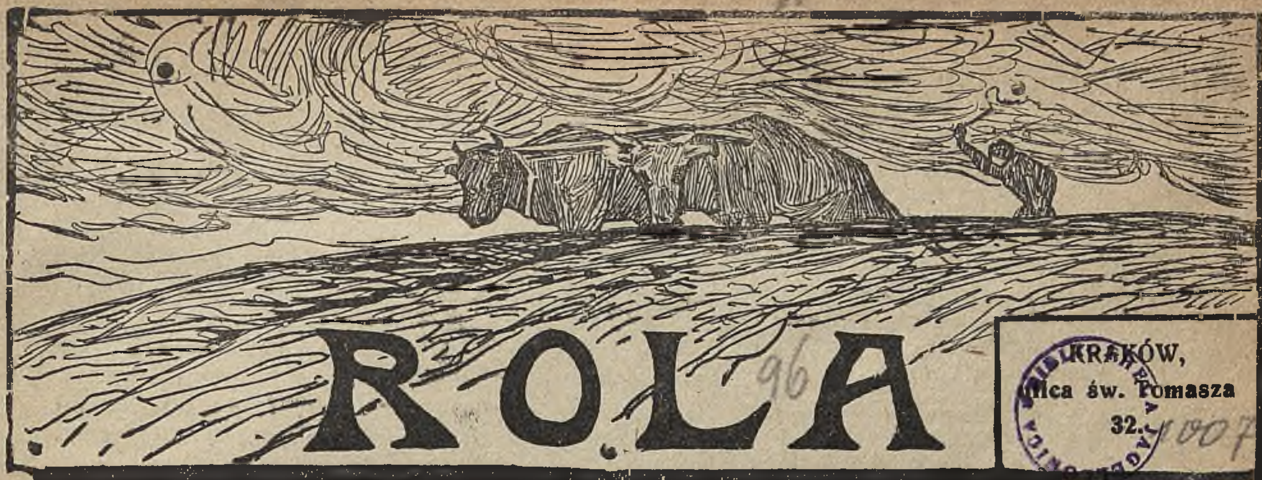
Szef: W jakiż sposób?

Agent: Strącił mnie ze schodów.

Prosimy o wyraźne i dokładne pisanie adresòw, szczególnie ostatniej poczty.



Numer 1. Rok X. Kraków, dnia 1 Stycznia 1927.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 gr. Ogłoszenia zwykłe 20 groszy za jeden wiersz milimetrowy jednoszpaltowy (9 cm.), ogłoszenia zamiejscowe o 20 proc. droższe. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

DZIAD I JEGO SYN.

Noc zapadła głucha, zimowa noc. Niebo jarzyło się tysiącami gwiazd, a dołem przeciągał świszczący wiatr od wschodu, mocarz przeogromny, który swą srogością mógł przeziębić najsilniejszego człowieka. W noc taką od wioski szedł sobie zbiedzony starowina. Ciało jego zaledwo jakieś strzępki okrywały, podobne raczej do chorągiewek, pozawieszanych na suchych badylach, z którymi wiatr igraszki swywolne wyprawiał.

Idzie starowina i wzdycha, czuje kres dni swoich, a tak mu żal żegnać to życie, chociaż w niem nijakiej pociechy nie zaznał. Rzucił raz jeden i drugi okiem na te pola, pokryte śnieżną powłoką, i na te bory dziś tak złowieszczo szumiące i na te wioski, które opuścić na zawsze mu przyszło.

Usiadł na chwilę pod rozłożystym dębem, bo już sił mu więcej brakło. Usiadł, aby, nim północ nadejdzie, odpocząć chwilę i wspomnieć na dni ubiegłe. Usiadł dziadowina, ale nim zdołał popuścić wodze swej fantazji, zjawił się przed nim dorodny młodzieniec, dostatnio ubrany, pełen życia i siły.

Popatrzył na młodzieńca starzec bolesnem okiem i chciał dalej podążyć. Ale zastąpił mu drogę młodzieniec i tak się doń odezwał:

— Starcze! Zanim odejdziesz, daj mi radę jedną: co mam czynić, aby nie stać się takim, jak ty jesteś?

Pokiwał starowina głową z politowaniem, machnął ręką z niechęcią i nie chciał żadnej rady młodzieńcowi udzielić. Lecz gdy ten ponowił swą prośbę i od niej odstąpić nie chciał, tak przemówił starzec:

— Synu mój! Abyś się ty z dorodnego młodzieńca nie przemienił wkrótce w zgrzybiałego starca, musiałbyś świat zmienić zupełnie. To, co dziś się w świecie dzieje, stokroć silniejszego od ciebie w przeciągu krótkiego czasu w nędzarza zamienić może. Szukaj na świecie ludzi, a nie znajdziesz ich. Bo ci, którzy się ludźmi nazywać każą, to nie ludzie, ale stado jakichś dzikich bestyj, czyhających na siebie, aby tylko pożreć się coprędzej wzajemnie. Dzieci, na jednej ziemi zrodzene, jednym językiem mówiące, są sobie dalsze, aniżeli te lwy drapieżne, hasające po bezludnych krainach Afryki. Brat w bracie nie widzi brata, ale wroga, któremu na każdem miejscu zgubę gotuje. Obelgi, oszczerstwa, potwarz, to chleb codzienny u tych, którzy się miłować powinni. Nie twierdzę, że wszyscy, bo są i tacy, którzy widzą zło szerzące się na ziemi, i ostrzegają innych przed zgubnemi skutkami wzajemnej nienawiści, ale głos ich jest głosem wołającego na puszczy. Bo dziś chętniej bywa słuchany lada pyskacz, który zawiść sieje, aniżeli ten, który słowa miłości głosi. Ja rok cały pracowałem nad polepszeniem ludzkości i łachman tylko ten stary otrzymałem w nagrodę. I ciebie, mój synu spotka los podobny.

— I czyż niema żadnej rady, aby złemu zaradzić — zapytał młonzieniec.

— Nie widzę rady — odparł starzec — gdyż tyle prób już uczyniono, a wszystkie poszły na marne. Nie podołali inni, więc i ty nie podołasz.

— A jednak popróbuję — odpowiedział młodzieniec, pełen wiary w swe posłannictwo i pełen nadzieji, że rezultaty pracy jego nie pójdą przecież na marne.

Gdy płonoc wybiła, pożegnał się Rok Stary z Rokiem Nowym.

Tajemnica na dworze królewskim.

Powieść historyczna.

Staruszek, wpatrując się bacznie w gościa, milczał chwilę, a potem westchnął.

— Jestem pustelnikiem — rzekł — życie zakonne światu się nie opowiada, przed ludźmi się kryje. Tak samo przybyłem tu, jak ci, którzy za wiedzą króla Bolesława, niegdyś się osiedlili... jak błogosławieni Męczennicy bracia moi w regule św. Romualda, Benedykt, Mateusz, Jan, Izaak, Krystyan i ten, co ich przeżył, Barnaba.

— W takiej nędzy — rzekł król — na takiej pustyni, wśród dzikiego zwierza i dzikszych jeszcze pogan, którzy się w tych lasach ukrywają, jakże wyżyć mogliście?

— Jak wszelkie stworzenia, łaską Boską — odparł spokojnie starzec.

— Powiedzcie, Ojcze, czy wiecie, kogoście przyjęli w gościnę? — zapytał wreszcie król.

Zamyślił się staruszek i po chwili odpowiedział z uśmiechem:

— Jesteś królem Bolesławem, poznałem cię od razu, bom cię dawniej nieraz w Gnieźnie u grobu świętego Wojciecha widywał. Cześć ci królu pobożny! Rad jestem, że cię oczy moje raz jeszcze oglądać mogą!

Król Bolesław przybył tu z czarnemi myślami, podrażniony jeszcze w drodze nowym dowodem niechęci całego rodu Jaksów, gniewny, smutny... dopiero widok tego dobrowolnego ubogiego wygnańca, spokojnego, nieomal wesołego, rozchmurzył go nieco.

Siedział niejaki czas pogrążony w zadumie, a potem nagle się odezwał:

— Ojcze mój, nie darmo się tu znalazłem, nie wiedząc o was, niech się więc wyspowiadam przed wami, a może ciężar spadnie mi z piersi...

— Miłościwy panie — odparł pustelnik — czyńcie jako sumieniu waszemu i duszy lżej będzie. Wszakże za cud nieomal uważać muszę, że zbłąkany wśród nocy przybyłeś do mnie.

Król zamilkł na chwilę, a potem cichym głosem począł opowiadać swoją przeszłość i wszystkie swoje przewinienia, a spowiedź swą tak zakończył:

— A teraz mam jeszcze na sumieniu krew dwóch moich walecznych rycerzy winnych zabójstwa. Skazałem ich na śmierć. Ród ich i powinowaci zwracają się przeciwko mnie. Byłem surowym, ubłagać się nie dałem, przykładu potrzeba było na możnych zuchwalców, aby nie mówiono, że rycerzom moim nawet w czasie pokoju łupić i obdzierać wolno było bezkarnie. A nie mówiż zakon nasz oko za oko, ząb za ząb?

— Tak — odezwał się pustelnik — mówił to stary zakon, dopóki nie przyszedł pan światłości i nie rzekł natomiast: „Przebaczaj nieprzyjaciołom, jako pragniesz, abym ci winy twoje przebaczył“.

— Nie byli to moi nieprzyjaciele — odparł król — kochałem ich, byli druhami moimi i towarzyszami. Lecz cóżem uczynić miał, będąc sędzią przeciwko zakonowi ludzkiemu, który śmiercią za śmierć karze? Miałem szczędzić tych, co się nie litowali niewinnemu dla chciwości jego bogactw?

Pustelnik ze spuszczonemi oczyma, mruczał coś jakby odmawiał modlitwę.

— Ale miłosierdzie mogłem uczynić! — zawołał po chwili milczenia Bolesław. — Krew zburzyła się we mnie, a nie powstrzymałem jej. Żałuję mojego uczynku! Żal mi tych ludzi!

Pustelnik, usłyszawszy te wyrazy, podniósł obie ręce i cicho zamruczał słowo rozgrzeszenia.

Tak skończyła się ta boleściwa królewska spowiedź. Zamilkli oba na chwilę, gdy wtem koń króla pod ścianą gwałtownie rżeć zaczął. Równocześnie łomot i wrzawę coraz wyraźniej słychać było w lesie.

— Ludzkie głosy słyszę — zawołał pustelnik, zwracając się do króla.

Bolesław wstał z siedzenia, zbliżył się ku oknu, odsunął okiennicę i z rozjaśnioną twarzą, dobywszy róg, co mu wisiał na piersiach, zatrąbił. Wkrótce wesołe okrzyki odpowiedziały na głos trąbki. Chatę otoczył orszak króla, który, szukając go długo po lesie, wreszcie za śladami konia trafił na tę górę.

Wnet weszli do izby Sagan i Radlisz strasznie uznojeni.

— Miłościwy panie — zawołał Sagan — nie mieliście litości nad swoimi sługami. Nie chcieliście odezwać się do nas i dać nam znak!

Król się uśmiechnął.

— Nic się złego nie stało — rzekł, a wskazując na staruszka, dodał: — Powitajcie świętego męża, co mi dał schronienie.

Poszli tedy królewscy urzędnicy ucałować ręce ojca Antoniego.

Po krótkiem i serdecznem pożegnaniu cały orszak myśliwski z królem na czele opuścił gościnną chatę, a że już dnieć zaczynało, udano się drogą do Gniezna wiodącą, gdzie król pomodlić się pragnął przy grobie świętego Wojciecha.

VII.

Gdy Jaksowie znaleźli się w nowem więzieniu, do którego dalekie dochodziły mruczenia i głosy, nie byli jeszcze pewni ocalenia. Wśród ciemności zaczęli szukać, na czemby się mogli wesprzeć, lecz izba była pustą. Legli więc przy ścianie na ziemi, nie troszcząc się, jak te ostatnie chwile życia przepędzą.

Upłynął czas dość długi, gdy wreszcie zaskrzypiał długi klucz w zamku u drzwi, nie tych, przez które ich wprowadzono, lecz w innych w ścianie przeciwległej umieszczonych. Ukazało się w nich światło i wszedł mały, przygarbiony, stary człowiek z lampką w ręku. Miał na sobie szatę z grubego, czarnego sukna, krojem takim, jakie duchowni nosili.

Wszedłszy jakby z obawą, popatrzył strwożonym wzrokiem na dwóch braci, pilnie się im przyglądając. Być może, iż inaczej zupełnie wyobrażał sobię zbójów na śmierć skazanych. Gdy zobaczył łagodne i smutne twarze Jaksów, którzy powstali z ziemi, za ręce się trzymając, mocno się zdawał zdziwiony. Palec położywszy na usta, nawrócił prędko do drzwi i wniósł do izby kosz z żywnością, jakiej od dawna skazańcy nie kosztowali i dzbanek z napojem.

W milczeniu postawił starowina koszyk przed nimi i ruchem ręki zachęcał ich do jedzenia.

Wtem Andruszka odezwał się po cichu:

— Mój Ojcze, kiedyż nas będą tracić?

Usłyszawszy głos, staruszek jakby go się przeląkł, znów palec na usta przyłożył.

— Nic, nic, nie wiem — szepnął. — To wam powie kto inny, nie moja to rzecz.

I znowu ręką na kosz wskazał.

Chociaż niepewni swojego losu, Jaksowie tak byli zgłodniali, że Jurga wyciągnął rękę do kosza; zobaczywszy ich jedzących, stary popatrzył chwilkę,

postawił lampę na przymurku i wyszedł, zamykając drzwi za sobą.

Jaksowie zabrali się ochoczo do jedzenia. Srogi głód miał swe prawa, zniewalał ich nawet do zapomnienia, w jak niebezpiecznem znajdowali się położeniu. Jakaś nową siłę wlał w nich napój i jadło. Andruszka się uśmiechnął.

— Poco nas karmią na śmierć? — zawołał.

— Kto wie — rzekł Jurga — coś się stać musiało. Wyrok królewski śmierć przededniem zapowiedział, a to już dzień biały...

Mówiąc to, wskazał na okienko wysoko w górze, przez które widać było blaski przedzierające się dnia jasnego.

— Tak, dzień — potwierdził Andruszka.

— Może się wreszcie zlitują nad jednym — dodał młodszy. — Jeźli namyślają się jeszcze, którego mają tracić, jam gotowy.

Starszy nie mógł już nic na to odpowiedzieć, bo w tejże chwili otworzyły się drzwi i schylając się, wszedł inny duchowny, nieznany obu braciom, mąż poważny ze złotym krzyżem na piersiach na ciężkim, złotym zawieszony łańcuchu. Bracia na widok księdza powstali i wedle zwyczaju rękę jego ucałować pospieszyli.

Piękna choć surowa twarz duchownego, nie zdawała im się nic złego zwiastować. Szedł jakby niósł z sobą pociechę, a zanim zaczął mówić, zmierzył także bystrem spojrzeniem Jaksów. Oni stali przed nim milczący.

— Przyszedłem wam, dzieci moje, zwiastować nadzieję ocalenia. Nie mogę ani wam powiedzieć, komu to winni jesteście, ani co wam przeznaczono. Uczyniono wszakże tyle, iż z pod gniewnej ręki króla miłościwa opieka was wyrwała. Nadzieja więc w Bogu, iż czas ułagodzi gniew królewski i możecie być ocaleni. Lecz w Bożej to woli. Módlcie się o Jego łaskę. Na wolność wyjść jeszcze nie możecie. Ktoś nieopatrzny mógłby was zobaczyć i tajemnica wydałaby się przed czasem. Musicie więc pozostać w zamknięciu... tu lub może gdzieindziej... Dla świata jesteście umarli... nikt wiedzieć nie powinien, że żyjecie... Macie czas na pokutę i żal za grzechy...

Słuchając tej mowy, Jaksowie daleko mniej okazywali radości, niż się spodziewać było można. Ludziom rycerskiego powołania, nawykłym do swobody, do ruchu, do nieustannego zajęcia, niewola wśród czterech murów wydawała się nieomal gorszą od śmierci. To jedno ich tylko pocieszało, że rozdzielonymi być nie mieli.

— Żebyście zaś o Bogu nie zapomnieli — mówił dalej duchowny — możecie kilka razy w tydzień z za kraty, do której was stróż zawiedzie, wysłuchać Mszy świętej. Powtarzam wam raz jeszcze, gdybyście nieszczęściem przez kogo poznani zostali, życiem byście to przypłacić musieli. Więc idąc na mszę św., twarze zakrywać musicie i do nikogo nie mówcie słowa. A teraz Bóg z wami! — i poważnym krokiem wyszedł z izby.

Drzwi zaryglowano za nim. Bracia padli sobie w objęcia i ściskać się zaczęli radośnie. Mieli przynajmniej nadzieję.

Cały ten dzień zszedł im na domysłach, kto ich mógł od zguby ocalić. Znali dobrze Bolesława, wiedzieli więc, na jakie niebezpieczeństwo ten się narażał, kto śmiał się woli jego sprzeciwić. Jurga wpadł na myśl, iż może ojcu Teodory i łzom córki jego zawdzięczają tę łaskę. Andruszka posądzał raczej opata tynieckiego, którego przybycie do ciemnicy było dla nich jakby objawieniem lepszego losu. Żaden nie sięgnął nawet myślą do królowej.

Tegoż dnia stary sługa przyniósł im słomy na posłanie i dzban wody. Nazajutrz zaprowadził na Mszę świętą do kościoła.

Tak upłynęło braciom kilka dni. Ale ta cisza, próżnowanie, nieświadomość dalszego losu, czyniła im tę niewolę nadzwyczaj srogą i ciężką. Jurga opadał codziennie na siłach, wreszcie na dobre zachorował. Nie wstawał już z posłania, milczał i zdawał się z upragnieniem oczekiwać śmierci. Starszy brat był wytrwalszy, czuwał nad nim i widząc go tak w oczach niknącego, błagał starego stróża, aby starszego duchownego o tem uwiadomił.

Tegoż dnia nadszedł poważny kapłan do więzienia. Jurga już tak był osłabiony, że nie mógł się unieść na posłaniu.

— Mój ojcze — rzekł Andruszka — winniśmy ocalenie od gwałtownej śmierci łasce, nie wiemy czyjej. Lecz tu zginiemy z tęsknoty... natura nasza znieść nie może zamknięcia więzienia. Brat w oczach mi ginie. Umrze, umrę i ja po nim... tyle tylko, że się pomęczymy dłużej.

Ksiądz wysłuchał ze smutkiem tej skargi, lecz zdawał się nie wiedzieć, co z nimi począć. Przystąpił do Jurgi i przekonał się sam, iż go choroba trawiła. Nie mówiąc wiele, uczynił tylko nadzieję powrotu i odszedł. Ale nazajutrz przybył znowu i to z opatem tynieckim. Opat, obejrzawszy chorego, przekonał się, że istotnie choroba groźne już przybrała rozmiary. Był widocznie zakłopotany, bo i on zdawał się nie wiedzieć, co tu począć, jak radzić.

— Idzie o wasze życie — rzekł — ktokolwiek was zobaczy na wolności i wyda... natenczas nietylko wy zginiecie, ale zgubicie te osoby, które was ocalić chciały... Nie widzę tu innej rady, jak przeprowadzenie was do obszerniejszego więzienia, do mojego klasztorku w Tyńcu, gdzie w zakonnych celach przynajmniej na słońce patrzeć będziecie mogli i z braćmi, co was nie wydadzą, obcować. Lecz jakże się będziecie mogli niepostrzeżeni dostać do Tyńca?

Andruszka pospieszył odpowiedzieć, że będą nocami przedzierać się przez manowce, unikając ludzi. Jurga nawet, usłyszawszy o tem, podniósł głowę, poręczając słabym głosem, iż raczej umrzeć gotowi, niż zdradzić swych obrońców.

Rozpoczęła się wtedy długa narada, jak doprowadzić do skutku tę daleką podróż. Szczęściem, że obu braciom nawykłym do wojennych wycieczek, dobrze były znane wszystkie okolice naszego kraju, a pora zimowa czyniła możliwą tajemną podróż. Opat Aron rzekł po długim namyśle:

— Znajdziecie w Tyńcu moich braci z różnych stron świata i języków tam zebranych. Moglibyście korzystać z tego. Rozpatrzywszy się i objaśniwszy u Ojców, moglibyście przygotować się do podróży daleko większej, którąby wam zapewniła ocalenie.

Tu spojrzawszy na ciekawie go słuchających, opat mówił dalej:

— Król, pan nasz miłościwy potrzebę mieć będzie wielką wysłać ludzi zręcznych i pewnych w ważnej sprawie... daleko... kto wie? do Rzymu może?... do samego Ojca świętego... Zręczności i męstwa do tej podróży wielkiego potrzeba. Niebezpieczeństwa dość się znajdzie w drodze... Moglibyście mieć dodanego w pomoc braciszka Włocha...

Na samą wzmiankę o podobnej wyprawie Andruszka rzucił się ręce opata całować, a Jurga pod-

niósł się jakby mu sił przybyło. Lecz dnia tego na kilku się słowach skończyło. Jurga odżył widocznie, ucieszony Andruszka słuchał jego weselszej rozmowy. Noc przespał spokojnie. Obudził się silniejszym, smak mu do jadła powrócił. Gdy trzeciego dnia opat Aron przybył do nich, znalazł go już chodzącym po izbie.

Zaczęto się więc naradzać o podróży. Opat Aron chciał czekać, aby Jurga całkiem do zdrowia powrócił, ale bracia zaręczyli mu, że podołają najcięższej podróży, gdy się na swobodę, powietrze i światło wydobędą.

Wyznaczono więc trzecią noc do wyjazdu. Bracia spędzili te dwa dni w gorączkowem oczekiwaniu. W wieczór, kiedy już tej nocy mieli wyjeżdżać, otworzyły się z cicha drzwi więzienia i ujrzeli wchodzącego starego Sieciecha, a za nim wahającym krokiem postępowała z zapuszczoną na twarz zasłoną, jego córka Teodora. Pieszczona jedynaczka ojca wybłagała u niego tę łaskę, by Jurgę, którego uważała za przyszłego swego męża, mogła widzieć, nimby na niepewne puszczał się losy.

Piękna Sieciechówna, gdy zobaczyła Jurgę tak ogromnie chorobą i niewolą zmienionego, rozpłakała się rzewnie.

Rycerski Jaksa ukląkł przed nią... a odważne dziewczę wnet się uspokoiło. Słów tam nie wiele wyrzeczono.

Sieciech po ojcowsku zaczął ich napominać. Teodora prosiła braci, aby się nie narażali na to, by zdradzonymi być mogli.

Narzeczonemu oddała poświęcony krzyżyk, który go miał bronić od wszelkiego niebezpieczeństwa.

— Oh! wiedziałem — zawołał Jurga nieomal wesoło — komu mamy zawdzięczać nasze ocalenie.

— Jeśli myślicie, że mnie lub mojemu ojcu, to się mylicie — odpowiedziała Teodora. — Prosiliśmy za wami, lecz ocalił was kto inny, którego imienia wyrzec mi się nie godzi.

Zdziwili się Jaksowie, lecz i teraz jeszcze im królowa na myśl nie przyszła. Dłużej dopytywać nie śmieli.

Po krótkiem pożegnaniu Sieciech odszedł z córką, a bracia żywo zaczęli się sposobić do podróży. Stróż im pomagał. Jeszcze opat stał w furcie, aby się naocznie przekonać o ich oddaleniu, gdy puściwszy się cwałem, Andruszka i Jurga zniknęli w zaroślach.

Nie będziemy opisywali podróży Jaksów do Tyńca, która trwała dość długo już dlatego, że miejsc wiele wymijać musieli i od oczów ludzkich się chronić. Podróż była męczącą, mrozy i zawieje bardzo ją przykrą czyniły.

Opat Aron dał im własną ręką zapisany zrzynek pergaminu pod swą pieczątką do zastępującego go ojca przeora. Wiele na nim jednak napisać nie mógł, zlecił więc Andruszce, aby ustnie resztę opowiedział.

Przybywszy do Tyńca, pozsiadali z koni i natychmiast otworzyły się wrota i w nich stanął stróż w ciemnem odzieniu, mierząc nowoprzybyłych ciekawemi oczyma. Był to braciszek, który już trochę języka rozumiał i gdy mu Andruszka powiedział, że są od opata posłani, a z przeorem mówić potrzebują, wnet od nich konie odebrano, a ich do rozmownicy zaprowadzono.

Zaledwie weszli Jaksowie, ukazał się na progu młody nowicjusz w czarnym ubiorze, z twarzą rumianą, tchnącą spokojem i wesołością z ciemnemi oczyma i takiemiż włosami.

Niedługo też wszedł do izby przeor w habicie, jakiego po dziś dzień używają Benedyktyni. Był to nie młody już, ale czerstwy mężczyzna, z tym samym, wesołym wyrazem twarzy, który już u młodego kleryka tak zdziwił braci Jaksów. Andruszka, pozdrowiwszy pocałowaniem ręki ojca Benedykta, oddał mu pergaminowy zwitek opata Arona.

Przeczytawszy to pismo przeor dał znak klerykowi, aby się oddalił i teraz zaczął wypytywać braci o cały przebieg ich smutnej przygody. Gdy mu Andruszka wszystko szczerze opowiedział, rzekł poważnie:

— Tu u nas żadne wam niebezpieczeństwo nie zagraża; zimą zwłaszcza mało kto do klasztoru uczęszcza z osób rycerskiego stanu... Dla niepoznania moglibyście włożyć suknie nowicjuszów, ale i to nie jest koniecznie potrzebnem...

W kartce od opata Arona stało napisane, iż dobrze byłoby, gdyby ci dwaj bracia nauczyć się mogli jakiego języka, z którymby w podróż do Włoch wybrać się łatwiej mogli. Przeor przyobiecał im wyznaczyć jednego z braci Włochów, do nauczania ich tego języka, co oni z radością przyjęli. Potem zawołał nowicjusza i kazał mu odprowadzić braci do mieszkania, które dla nich przeznaczył.

Była to czysta komnata, dość obszerna z oknami ku Wiśle zwróconemi, w której komina nie brakło i miejsca na posłanie. Młody kleryk Odon pomagał im we wszystkiem wesoło, usiłując rozchmurzyć ich czoła i natchnąć dobrą myślą. Przyniesiono im wkrótce skromne, ale posilne jedzenie, które im po tak długiem wygłodzeniu niezmiernie smakowało.

Gdy wreszcie Odon odszedł, obiecując oprowadzić ich nazajutrz po całym klasztorze i bracia sami pozostali, Jurga rzekł do brata:

— Jak ci się zda, długo to potrwać może?

— Sądzę, że nie krótko — odparł Andruszka.

— Ale przecież w las czasem na łowy pojechać nam będzie wolno — rzekł Jurga.

— Nie będę śmiał o to przeora pytać — rzekł starszy brat — o półtorej mili od Krakowa, gdzie królewski namiestnik mieszka... a koło niego ludzie się od dworu kręcą... nużby nas kto poznał?

Smutna ta rozmowa późno w noc się ciągnęła. Z izby swej słyszeli bracia, jak dzwoniono na modlitwy, jak szli na nie i wracali zakonnicy, wreszcie zasnęli snem twardym i zbudzili się nazajutrz, gdy słońce już wysoko stało na niebie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

„*Zima*".

Już pokryte domy, łany
Ślicznym aksamitem śniegu.
Dachy sterczą, jak kurchany,
Jakby ślady śmierci biegu.

Już na roli białe płaty
Tam, gdzie w lecie rosło zboże,
Tam, gdzie w lecie kwitły [kwiaty,
Teraz pełne śniegu morze.

Już nie słychać nigdzie [piosnki,
Wszędzie zimy czuć niewolę.
Lecz kto chce się zbyć swej [troski,
Niechże w zimie czyta „Rolę".

Władysław Bienias.



WIECZORNE DZWONY.

Na Anioł Pański biją dzwony...

W dźwięki ich modłów zasłuchane,
Tęsknicą wieków zadumane
Stoją tajemne szczyty Tatr;
A czoła ich tysięcem watr
Na pożegnanie słońca płoną.
A kiedy zgaśnie, wtedy one,
W ciszę kamienną pogrążone,
Nocy otulą się osłoną
I jak nadziemska jakaś zjawa,
Pobladłe z żalu i tęsknoty,
Gdy słońca zajdzie tarcza krwawa,
Podeprą strop, z którego w złotej
Poświacie miesiąc blask rozsiewa,
Z którego w dale,
W jezierne fale
Zbłąkanych leci gwiazd ulewa.



Na Anioł Pański biją dzwony
Ich echo łka gdzieś po ugorach,
Po halach tłucze się i borach,
Po bledniejących szczytach Tatr...

Marjan Gotkiewicz.

Z NOWYM ROKIEM.

...I znów jeden okres czasu zwany rokiem uleciał w Prawieczność, przeminął w życiu naszem, w historji Narodu i Państwa.

Zjawisko to obserwujemy co roku, a jednak budzi ono zawsze w nas uczucia niepewności.

Jakim będzie rok 1927? Co nam przyniesie?

Czy będzie względniejszy od starego, który nie szczędził nam trosk i zawodów, nad któremi przechodzimy jednak razem ze wskazówkami zegara w tę noc przełomową do porządku dziennego. Darujemy schodzącemu do grobu starcowi wszystkie żale i urazy, a patrzymy w przyszłość pełni nadziei... będąc jak najlepszej myśli, że Nowy Rok przyniesie nam bezwzględnie coś lepszego.

Sama jednak nadzieja, która, jak mówią, jest matką „naiwnych“, nie da nam nic pozytywnego, gdy wiosła i żagle w naszej łodzi życiowej puścimy na wolę fal i wiatrów, zdając się na los szczęścia. Zapewne, że i nadzieja jest bezsprzecznie ważnym, bo pobudliwym czynnikiem w energji zmagań ludzkich, ale musimy pamiętać o tem, że życie temu się tylko może układać pomyślnie, kto trzyma rękę na jego pulsie, innemi słowy, kto życie sam tworzy i układa według przysłowia, że każdy jest kowalem własnego szczęścia.

Nam Polakom, którzy nigdy nie grzeszyliśmy zbytnią wytrwałością, dostateczną energją i konsekwentnem dążeniem do raz obranego celu, przyszłość przedstawia się jak ta bryła skalna, z której sami mamy kuć posągi zwycięstwa, nie czekając, aż się na nas opieszałych swym ciężarem zwali.

Zróbmy więc z Nowym Rokiem dokładny rachunek, rachunek sumienia z roku ubiegłego, ułóżmy program działania na Nowy i z hasłem, że przyszłość zależy od nas i do nas należyć będzie, dążmy wytrwale w Imię Boże do celu. *Cj.*



MACIEK BZDURA GADA:

W zesłą niedzielę jegomość, ten z plebanji, okropnie mnie skunierowali. Po sumie przywołali mnie na plebaniją, kazali swoji gospodyni wyniść się za drzwi i tak padają:

— Słuchaj Maciuś, co ci powiem! Wiem ci ja, ze cię ludzie po całem świecie okrutecnie lubią, bo ktoby cię ta nie łubiał za to twoje gadanie w „Roli". To tez i ja, nie chwalący się, miłuję cię takze okrutecnie i twoje gadanie najpirsiejse w „Roli" cytam. Ale wis, Maciuś, to tak nie uchodzi, bo choć zwykle prawdę prawis, to ci się przeciez casem coś tak chlapnie niedorzecy, jak tej starej babie, z cego potem jest grzych i obraza Boska.

Słuśnie pedzieli jegomość, ze to nie zawse cłekowi uda się to zrobić, coby chciał, ale cóz ja na to poradzę. Bo przecie i nas leśnica to prawie zawse, jak strzyla do wrony, to wybija w chałpie syby. A przeciez go o to winić nie mozna, ino strzelbę, która nie strzyla tam, gdzie chce leśnicy, ino tam, gdzie jej się podoba. Albo Wawrzek Podlasek chciał, zeby się mu narodził chłopak, a urodziła się mu dzieucha. Cóz on winien, ze Pan Bóg nie pobłogosławił jego pracy?

Tagem se myślał, alem nie rzekł nic, bo jakze tu takiemu ciarachowi, jak ja, poświęcanej osobie się sprzeciwiać. Nie rzekłem tedy nic, alem spuścił całkiem ocy na ziemię i słucham dalej, a jegomość tak prawili.

— Nie powiem, abyś ty bezeceństwa tak walił prosto z mosta, o nie, i to się zaprzecyć nie da, ze tych chlapnięć twoich zaden ućciwy człowiek źle nie zrozumi, ale przeciez są na świecie ludzie tacy i tacy: są, którzy nie rozumią, ale są i tacy, co pokaz im palec, to oni zaraz za całą rękę chwytają. Ja wis, bo cię rozumię dobrze i dlatego ci padam, uwazaj na swe gadanie, zeby tych chlapnięć jak najmniej było.

Pocałowałem jegomości w rękę, bo zacności człowiek i co powiedzą, to tak, jak Amen w pacirzu. I od dziś dnia postanowiłem gadać o wszystkiem innem, a dzieuchom dać święty spokój. Bo i bez jegomości to przecie wiem, ze babska natura to miękka nicem rzepa. Jak się uweźnie, to nawet w litanji dwuznaczniki znajdzie. Odtąd będę gadał o rybach, o drzewach, o kapuście, a zadnej dzieuchy w zadne miejsce nie dotknę. Bo i po co? Wiem przecie, ze z tego wszystkiego, co ja powiem, to ino po całej wsi babskie języki bajki roznosą i robi się taka niemoralność, ze az strach. A niemoralności to nietylko ja, ale wszyscy ludzie się boją, bo jakby się we wsi wszyćkie dzieuchy rozmoralniły, to coby potem dla moralnych ludzi zostało.

Zreśtą baba to takie, Boże odpuść, stworzenie, ze niewiadomo, z której strony się jej dotknąć. Niedoświadcony człowiek, toby myślał, ze ona na wszyćkie strony ma języki i zęby. Najbardziej to ja tego doświadczył we wigiliją, przy pośniku. Wiecór siedliśmy se wszyscy przy stole, wszyscy, to jest ja, mój gospodarz i Kaśka Myrdalonka. Gospodyni przynieśli jedzenie i chcieli postawić na stole. Powiadam: chcieli postawić, bo go nie postawili. Zanim bowiem gosposia potrafili zblizyć miskę do stołu, to juz wsyćkie kluski zikły w Kaścyny pascęce. Tak było z kasą jaglaną, tak z tatarcaną, jak z pęcakiem, a dopiero przy grochu się ustatkowała i pozwoliła nam z gospodarzem nieco się posilić. Trapiła ją potem niemoralność przez parę dni, ale cóz nam z tego, kiedy co ona juz raz zezarła, toby nam drugi raz nie wysło na zdrowie. I na Kaśce przekonałem się dokumentnie, ze kuzda baba ma z dziesięć języków, kiedy tak dobrze wszyćko zmiatać potrafi.

I nas jegomość lepiejby wyglądali, gdyby z plebanji wywalili swoją Jadwigę, która co drugi dzień sama zre pirogi a ich herbatką karmi.

Inny toby ta przyrzecenia nie dotrzymał, ale ja to co innego! Powiedziałem, ze o babach nie będę gadał, to i dotrzymam. Bo zreśtą i o cem tu gadać, kiedy gadanie o nich jest bardzo nieprześpiecne tembardziej, kiedy święty jadwent się skończył i na uściwą zeniackę przysła pora. Cłek se ta bąknie to i owo, a to nasienie zaraz ci powiada: „Maciuś, bier mnie!" A tu cłek se tak kalkuluje: Cy się, brachu, ozenis, cy nie, to zawse głupstwo zrobis. W tem ino rzec, co jest większe głupstwo. Ozenis się, to mas jedno niescęście, ale zupełnie pewne, w chałpie. Nie ozenis się, to mas tych niescęść całą furę po całem świecie. A juz to niewiadomo, cy lepse jedno takie domowe na fest, cy takie gromadzkie po całem świecie.

Skoda, zem się o to jegomości nie spytał, mozeby mi to jako wytłomacyli. Sam cłek nijak do samego środka prawdy dostać się nie może. Bo jeśli się pytas takiej, co ma juz swojego jakiego takiego pośturchańca, to ci na wszystkie sposoby zeniackę odradza, a zapytaj się takiej, co jej jesce niemoralności małzeńskiej nie udowodniono, to cie się cepi jak rzep psiego ogona i chce, abyś cemduchu do ontarza leciał, ocywiście z nią, nie z inną.

Zreśtą, co lepse, to ja się jutro nasego prefesura zapytam, bo on, jako cłek ucony, wszyćko wiedzieć powinien.



Odpowiedź na zarzuty.

Niedawno któraś z Adama córek
Zraniła bardzo mą duszę biedną,
Mówiąc, żem taki, jakoby Turek,
Pisząc tu w »Roli«: »Wszystko mi jedno!«

I odwróciła precz swe oczęta,
I zacisnęła piąsteczki srodze,
I do dziś jeszcze wiersz mój pamięta...

Próżnom tłomaczył gniewnej niebodze,
Że gdy się w sercu ma uczuć nawał,
To się w poezji byle co kleci,
By tylko ludzi wziąć tem na kawał,
By nie wiedzieli, co się gdzie święci...

Nie uwiarzyła i do dziś biada,
I do dziś główkę swą biedną łamie,
Kiedy poeta, gdy wiersz układa,
Mówi prawdzie, a kiedy kłamie!

Antoni St. Bassara.

Podróż naokoło świata.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XVII.

Ryzykowna jazda.

Była to awanturnicza podróż, ta wyprawa ośmiusetmilowa na barce o dwudziestu tonach. Podczas ostatnich godzin dnia barka Tankadera szła, kołysząc się ciągle, potem znów spokojnie i lekko unosiła podróżnych. Ale nazajutrz zjawiły się oznaki zbliżającej się burzy. Koło ósmej spadła straszliwa ulewa z wichrem. Barka podniesiona została jak piórko do góry, poczem unoszona wichrem, gnała na północ. Żadna lokomotywa nie dorównałaby jej w szybkości. Parę razy groziło jej porwanie przez fale i zatopienie w głębi morza, ale zawsze umiejętne pchnięcie marynarza w porę oddalało katastrofę.

Fix klął ciągle i wyrzekał, ale pani Anda, zapatrzona w spokój pana Fogga, nie bała się również i okazała się godną jego towarzyszką.

Karnatik, opuściwszy Hong Kongo 7 listopada o wpół do siódmej wieczorem, skierował się całą siłą pary ku ziemiom Japonji. Wiózł on z sobą mnóstwo pasażerów i dużo towarów. Dwie przednie kajuty były niezajęte, zamówił je Passepartout dla Filipa Fogga i jego towarzyszki.



Passepartout rzucił się do prawej galerji.

Nazajutrz rano ludzie pracujący u kadłuba okrętu ujrzeli ze zdziwieniem wychodzącego na pokład człowieka o oku zamglonem, chodzie chwiejnym i twarzą wybladłą.

Człowiek ten usiadł na ławce na pokładzie i zdawało się, iż czeka na kogoś.

Człowiekiem tym był Passepartout. Posłuchajmy, co się z nim stało.

W kilka minut po opuszczeniu przez Fixa karczmy, dwóch chłopców wzięło Passepartout na ręce i zaniosło go na łoże, gdzie spało już wielu palaczy.

Ale w trzy godziny później Passepartout trapiony przykremi snami, wytężył całą siłę woli, żeby powstać.

Obowiązek zawiadomienia pana Fogga o zmianie pory wyjazdu podniósł go na nogi. Opuścił więc pijackie łoże i zataczając się na nogach, opierając się o mury, to wstając, to padając z powrotem, wyszedł z palarni, krzycząc jakby we śnie, Karnatik! Karnatik!

Parowiec stał gotów już do podróży, gdy wbiegł Passepartout i padł nieprzytomny na pokład. Parowiec wyruszył tejże chwili, a kilku marynarzy podbiegło do biednego chłopca i zaniosło go do kajuty drugiej klasy.

Passepartout obudził się dopiero na drugi dzień rano, o sto pięćdziesiąt mil od Chin. I oto powód, dla którego Passepartout znalazł się tego ranka na pokładzie, wdychając pełną piersią świeże powietrze morza. Zaczęło mu się już rozjaśniać w głowie i nawiedziły go smutne myśli. Przypominał sobie pijatykę z Fixem, palarnię i t. d.

Passepartout namyślał się, czy ma o tem powiedzieć swemu panu?

Wkońcu postanowił dopiero w Londynie opowiedzieć mu o tem, że tropił go agent śledczy. Naśmieją się wtedy do syta!

Ale teraz najważniejszą rzeczą było wyszukać pana Fogga i przeprosić go. Passepartout wstał z ławki i poszedł zobaczyć, czy pan jego śpi jeszcze. Na pomoście nie zobaczył ani pana Fogga, ani pani Andy. Szukał ich wszędzie, ale bez skutku. A więc był na Karnatiku, ale pana jego nie było!

Passepartout upadł zrozpaczony na fotel.

Zrozumiał teraz, że był pijany i nie doniósł panu Fogg o tem, że parowiec wyjeżdża wcześniej. Z jego powodu nie znajduje się tu jego pan i pani Anda. Teraz biedny pan Fogg zostanie zrujnowany przez niego. Nie wygra zakładu, a może będzie uwięziony. Na tę myśl Passepartout wyrywał sobie włosy z głowy.

— Ach! gdyby teraz Fix dostał się w moje ręce, załatwiłbym z nim rachunki!

Po wybuchach rozpaczy nastąpiła refleksja i Passepartout zaczął rozglądać się w sytuacji, która jednak nie była też wcale do pozazdroszczenia.

Znajdował się wprawdzie w drodze do Japonji. Pewny był, że dojedzie, bo drogę miał z góry zapłaconą, nie wiedział jednak, jak wróci do Londynu. Kieszeń była pusta, z czego więc żyć będzie i jechać?

Trzynastego parowiec dopłynął do portu Jokohama. Passepartout przygnębiony wyszedł na miasto i nie znając go, zaczął iść główną ulicą. Błądził tak bez celu aż do nocy.

ROZDZIAŁ XVIII.

Passepartout w cyrku.

Nazajutrz znużony, wygłodniały, postanowił coś zjeść za wszelką cenę.

Zdecydował się na sprzedaż zegarka, aby módz coś kupić do zjedzenia, ale potem rozmyślił się.

— Nie! — powiedział, — raczej umrzeć!

Naraz inny sposób zdobycia pieniędzy uśmiechnął się Francuzowi!

Umiał on wygrywać i śpiewać różne pieśni francuskie i angielskie.

Japończycy są bardzo muzykalni, lubią muzykę i śpiew, wszystko u nich odbywa się przy dźwiękach bębna i brzęku cymbałów.

Ale może pora była za wcześna na przedstawienia muzyczne i mieszkańcy obudzeni jego muzyką, z gniewu, że im spać przeszkodził, nie dadzą mu ani jednej monety. Passepartout postanowił czekać jeszcze kilka godzin. Zużytkował ten czas na zmianę swej garderoby.

Jak pomyślał, tak zrobił. Poszedł do jakiegoś handlarza ubraniem, tam dano mu ubranie japońskie wzamian za jego wspaniały garnitur i trochę srebrnych pieniędzy.

Passepartout, przebrany w suknie japońskie, wyruszył do jakiejś taniej garkuchni, gdzie dostał resztę pozostałej z dnia poprzedniego pieczeni i wyborną herbatę.

Nasyciwszy się, z większą już energją poszedł szukać zarobku.

Naraz oczy jego padły na wspaniały kolorowy afisz. Afisz ten oznajmiał, że tego wieczoru ma się odbyć nadzwyczajne, ostatnie przed wyjazdem przedstawienie w słynnym cyrku Wilhelma Ratulkara.

Na przedstawienie składać się mają obrazy, zwane „Długonosy“...

Poszedł więc za człowiekiem, który obnosił ów afisz i w kwadrans po tem był już przed olbrzymią szopą, na której uczepiono mnóstwo różnckolorowych chorągiewek, w środku zaś widać było pstro odzianych błaznów.

Był to budynek dyrektora Batulkara.

Passepartout przeszedł jakiś przedsionek i spytał o dyrektora.

Ten ostatni zjawił się natychmiast, zapytując, czegoby sobie życzył?

Francuz oznajmił mu, że szuka zajęcia i chętnie wstąpiłby do jego cyrku. Właściciel, wypytawszy się go, co umie, zgodził się na przyjęcie go.

Passepartout nakoniec znalazł zajęcie. Zaangażowany był do wszelkich sztuk w sławnej japońskiej trupie. Nie było to dla niego zaszczytne, ale za ośm dni zapewniony miał wyjazd do San Francisko.

O godzinie trzeciej rozpocząć się miało widowisko, złożone z długonosych.

Naturalnie, Passepartout nie potrafiłby niczego teraz wykonać samodzielnie, gdyż czasu nie starczyło na przygotowanie, ale miał być podporą długonosych. Na jego to silnych barkach miały się oprzeć długonose istoty i w ten sposób utworzyć jakby grono winogron.

Zaczęły już grać trąby, bębnić bębny, a widzowie zaczęli się gromadzić.

Pełno było w sali Europejczyków, Chińczyków, Japończyków, mężczyzn, kobiet i dzieci. Wszyscy siadali na szerokich ławkach, lub lożach.

Przedstawienie było takie, jak i we wszystkich cyrkach. Trudno opisać wszystkie nadzwyczajne sztuki, pokazywane w cyrku japońskim, ale najważniejszą z nich miała być scena, zatytułowana „Długonosy“, nieznana dotąd i niebywała.

Te długonosy tworzyły związek specjalny pod rządem bożka Tengu

Ubrani, jak bohaterowie wieków średnich, na ramionach mieli olbrzymie skrzydła.

Ale wyróżniało ich od wszystkich dotąd znanych błaznów to, że mieli ogromne nosy. Nosy te były bambusem, długim na pięć, sześć i dziesięć stóp, jedne proste, drugie krzywe, tamte znów do góry zadarte.

Dwunastu długonosych leżało na plecach, a koledzy ich wyprawiali różne skoki na ich nosach.

Na zakończenie przedstawienia oznajmiono publice, że ukaże się ludzka piramida, z pięćdziesięciu długonosych złożona. Ale zamiast utworzyć piramidę z oparcia się na plecach lub ramionach, utworzono ją w ten sposób, że opierano się na nosach. Jeden z tych, który wchodził w skład długonosych, opuścił trupę, na jego miejsce wszedł więc Passepartout.

Biedny chłopak był złamany na duchu, musiał bowiem wziąć skrzydła i nos bambusowy, jak i drudzy, co go poniżało we własnych oczach, ale cóż było robić? Nos ten był to jedyny środek do życia!

Passepartout wszedł na salę i miał utworzyć wraz z kilku kolegami podstawę piramidy. Wszyscy ci wyciągnęli się na podłodze z nosami, wysuniętymi do góry. Druga grupa oparła się na nich nosami, trzecia na tamtych i t. d. Podziw był powszechny, ale doszedł do najwyższego stopnia, gdy piramida zachwiała się, jeden z postawy ubył, i jak domek z kart za lekkim podmuchem, runęli wszyscy na ziemię.

Sprawcą tego był Passepartout, który nagle opuścił swe stanowisko, przeskoczył balustradę, oddzielającą scenę od widzów i rzucił się do prawej galerji, padając do nóg pewnego widza i wołając:

— Ach! mój pan! mój pan!

— To ty?

— To ja!

— A więc, w takim razie, do parowca, mój chłopcze!...

Pan Fogg, pani Anda i Pasepartout wyszli przez korytarze, chcąc wydostać się z budy cyrkowej, ale spotkali tam rozgniewanego pana Batulkara, który twierdził, że utracił cały dochód, z powodu Passepartout.

Pan Fogg uśmierzył jego gniew, rzucając mu garść banknotów.

I o godzinie wpół do siódmej weszli wszyscy na parowiec, Passepartout ze skrzydłami i sztucznym nosem, których zdjąć już nie było czasu.

ROZDZIAŁ XIX.

Podróżni w Jokohamie.

Filip Fogg zdążył do Jokohamy, gdyż okręt jadący z Szangai spostrzegł miotaną burzą łódź i w kilka minut potem zabrał wszystkich na okręt.

Przybywszy tego samego ranka, 14 listopada, pan Fogg wyruszył zaraz do biura policyjnego i tam ku wielkiej swej i pani Andy radości dowiedział się, że Jan Passepartout przyjechał dzień przedtem do Jokohamy. Pan Fogg zabrał się więc do odszukania swego służącego. Był w konsulacie, w biurach, ale nikt nie wiedział, co się z nim stało.

Przebiegłszy wszystkie ulice Jokohamy, zrozpaczony, wszedł do budy cyrkowej.

Nie poznałby napewno w tem przebraniu swego służącego, ale Passepartout, leżąc na wznak z głową do góry wzniesioną, spostrzegł swego pana na galerji. Z opowiadań pani Andy dowiedział się Passepartout, że Fix towarzyszył im w podróży, i że jedzie z nimi dalej.

Podróżni udali się na okręt „Generał Grant“ i opuścili Jokohamę.

W dziewięć dni po opuszczeniu Jokohamy Filip Fogg przebył połowę podróży naokoło świata. Dalsza

droga była prosta, i spodziewał się w 28 dni dojechać do Londynu. Ale gdzie był teraz Fix? Oto ni mniej ni więcej, na pokładzie „Generała Granta".

Opuściwszy pana Fogga w Jokohamie, pobiegł do konsula angielskiego i tam znalazł nareszcie ów rozkaz aresztowania pana Fogga.

Niestety jednak rozkaz ten był opóźniony o dni czterdzieści! Gonił on detektywa po całym świecie, aż nareszcie tenże sam Karnatik, którym miał on jechać i opóźnił się, wiózł ów rozkaz spóźniony. Detektyw był zrozpaczony. Filip Fogg przejechał już posiadłości angielskie, jest bezpieczny!

— Trudno! — mówił do siebie Fix po pierwszym wybuchu gniewu. — Złapię go w Anglji, gdy będzie wracał. Nicpoń ten czuje się spokojny, zdaje mu się, że oszukał policję. Dobrze. Jechać będę z nim wszędzie. Co do pieniędzy, to nie wiem, czy mu co pozostanie. Tak hojnie rozrzuca jałmużny, nagrody, kupuje słonie etc.

W jedenaście dni potem, 3-go grudnia, „Generał Grant" przybił do Złotego Portu w San Francisco.

O szóstej godzinie wieczorem podróżni wyjechali koleją do Nowego Jorku.

Wagon, zajęty przez pana Fogga, był rodzajem długiego omnibusu, opierającego się na czterech kołach. Przez całą długość wagonów, można było sobie spokojnie spacerować, przejścia z jednego wagonu do innych były zupełnie bezpieczne. Były tam i wagony restauracyjne i salony i kawiarnie, brakło tylko teatru.

W godzinę po wyruszeniu pociągu spadł śnieg, śnieg drobny, który nie mógł zaszkodzić szybkości pociągu.

Wyjeżdżając z Sakramento, pociąg przejechał olbrzymie Sierra Newada. Droga była fantastyczna i urozmaicona.

Tu góry, tam przepaście, tam znów most nad rzeką.

Pociąg spuszczał się, to znów wznosił na wzgórza.

Gwizd olbrzymiej lokomotywy mieszał się z hukiem wodospadów i potoków, koło których, lub nad któremi przejeżdżali nasi podróżni. Zament, hałas, szybki bieg pociągu łączył się z poświstem wichrów i uderzeniami kół o skały, wyżłobione na tunel.

(Ciąg dalszy nastąpi).



GDZIE SZCZĘŚCIE?



Miał Stach Słomka dach nad głową, sad prześliczny, kawał niwy i stodółkę prawie nową, więc był wesół i szczęśliwy. Z Magdą swoją gospodarzył, nikt nie słyszał u nich zwady. Bóg go za to szczęściem darzył, szanowali go sąsiady. Nie skąpiło mu miłości jego małych dziatek czworo, więc w największej szczęśliwości tak mu przeszło latek sporo.

Aż raz przyszedł skądś zdaleka jakiś Niemiec, pan bogaty, i omotał tak człowieka, że ten zbył się swojej chaty. Sprzedał dom swój, gdzie się rodził i te łąki kwietne wiosną, i te drogi, co je brodził, i sad, w którym grusze rosną.

I wyruszył Stach za morze szukać szczęścia w obcej ziemi, szukać szczęścia, żal się Boże, między ludźmi nieznanemi.

I minęło znów lat sporo: Stach za morzem zdarł swe siły, w jednym roku dziatek czworo odwiózł, biedak, do mogiły. Żonę złożył swą na mary i pozostał sam na świecie — nie pomogły mu dolary, nie dały mu szczęścia przecie.

I powrócił Stach do kraju z przechwalonej obcej ziemi, z zamorskiego tego raju, by znów zostać między swemi.

Ale tutaj, gdzie przed laty on swobodnie gospodarzył, Niemiec panem jego chaty, co mu biedy tej nawarzył. Niemiec depce jego rolę i je owoc z jego sadu, Niemiec zbiera jego pole... z Stacha szczęścia niema śladu! Aby zyskać kawał chleba, trza pokornie stać przy płocie, o zarobek prosić trzeba i na zimnie i na słocie...

Takto bywa, gdy kto szuka za morzami szczęścia swego, gdyż najczęściej się oszuka i nie dojdzie do niczego.

Antoni Socha.

W sądzie.

Sędzia ogłasza: „Pan zostaje niniejszem skazany na 3 lata więzienia. Czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia?

Wówczas wstaje oskarżony i mówi: „Tak jest, proszę, żeby doniesiono mojej żonie, że przed rokiem 1929 nie przyjdę na obiad“.



To co najważniejsze.

On: „Pocóż ty dzisiaj idziesz do teatru? Widziałaś przecież już tę sztukę dwa razy“?

Ona: „Tak, ale nie w mojej nowej toalecie“.



Na krótko.

— Cóż będzie z temi 20 złotemi, jakie ci pożyczyłem? Mówiłeś mi przecie, że potrzebujesz ich tylko na krótko!...

— Bo też w ciągu 5 minut nie miałem już z nich ani grosza...

Dowcipny o polowaniach.

Pan Durand cieszył się opinją surowego prokuratora w Grenobli a zarazem sławą znakomitego strzelca. Tego lata udał się na polowanie z młodym Dupot'em, sędzią sądu okręgowego w Grenobli; chytry szarak wyskakuje z bruzdy i pędzi przed siebie.

Sędzia mierzy, strzela i... wyrokuje:

— Osądzony!

— Być może — rzecze prokurator, przyglądając się z pod oka uciekającemu szarakowi: „Zaocznie! zaocznie!“



Co to jest plajta?

— Tate — pyta młody Icek — co to jest plajta?

— Widzisz, Icek, plajta to jest wtedy, kiedy wszystkie pieniądze moje włożę do kieszeni od spodni, a wierzycielom swoim oddam kamizelkę.

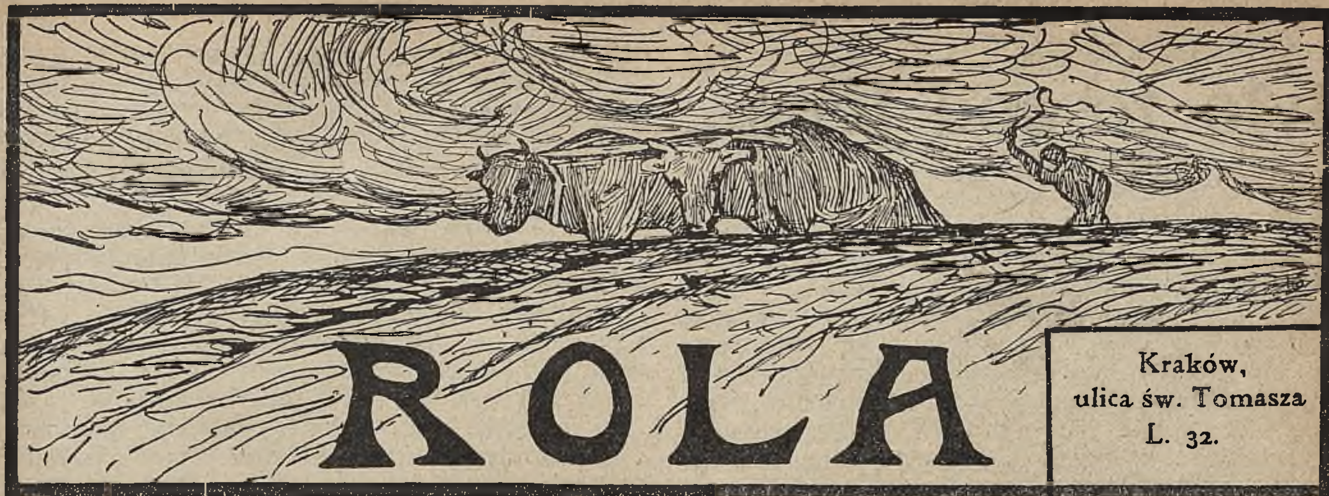


Środek na nudy.

Pewien młody kupiec użala się przed swym starszym kolegą, że się nudzi.

— Wiesz co? — odpowiada kolega — wystaw kilka weksli z terminem płatności za trzy miesiące! Zobaczysz jak ci czas szybko upłynie!...

Numer 42. Rok X. Kraków, dnia 16 Października 1927



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Pod sztandary wojskowe!

Już wkrótce, bo zaledwie za dni kilka, stoparędziesiąt tysięcy młodych Polaków, w całym kraju wybranych, pójdzie pod sztandary wojskowe odbywać swą powinność. Wielu, bardzo wielu pójdzie chętnie; ci uważaliby sobie za ujmę i wstyd być uznanym za niezdatnych do tej służby obywatelskiej. Wielu jednak pójdzie do swego oddziału niechętnie, dlatego, że iść trzeba, dlatego, że mus. Pójdą z jakąś urojoną obawą przed ciężką służbą żołnierską, gdzieś na obczyźnie, wśród dalekich nieznanych ludzi, gdzie czeka ciężka i trudna praca.

Rozumię was, chłopcy, którzy niechętnie myślicie o waszej służbie w wojsku. Rozumię, ale muszę wam powiedzieć, że nie macie racji. O nie!

Idziecie przecież do swojego, polskiego wojska. Wasi dowódcy, od najwyższego generała aż do najmłodszego podoficera — to wszystko Polacy, tacy sami jak wy. W polskim, a nie innym języku będą do was mówić, będą was uczyć, wychowywać. Wszyscy oni dobrze wam życzą, chcą, byście po dwu latach służby w szeregach wyszli jako dobrzy, zahartowani, dzielni obywatele. A służyć będziecie pod sztandarami, na których wypisane są nazwy bitew, gdzie walczyło wielu waszych bliźnich, znajomych, krewnych...

Prawda, zrazu nie będzie wam w wojsku dobrze: każdy początek jest ciężki. Ale to nic. To prędko minie. Potem w kompanji, szwadronie czy baterji czuć się będziecie, jak w domu. I wesoło, bo przecież nie będziecie sami, ale całą gromadą. A zajęcia i ćwiczenia nie trwają wiecznie, znajdzie się zawsze czas na żart czy zabawę, na przeczytanie gazety lub napisanie listu.

I w wojsku wiele się nauczycie. Nietylko rzeczy czysto żołnierskich. Zobaczycie kawał Polski, poznacie wielkie miasta, różne fabryki i urządzenia, spotkacie niejedną nową, ciekawą rzecz. Przetrzecie się trochę w świecie, przestaniecie być wiecznie mamusinej spódnicy trzymającymi się „dzikami". Iluż to jest takich porządnych, ale nieśmiałych i nierozgarniętych chłopaków; w wojsku oni prędko nabierają postawy, pewności siebie, mężnieją i odmieniają się niedopoznania. Sami musieliście nieraz to już zauważyć. — A już wszyscy nauczą się punktualności, porządku, posłuchu i karności, której nam Polakom bardzo, ale to bardzo jeszcze brak.

Pewnie, służba wojskowa to nie zabawka, to szkoła i twarda szkoła. Tam chleba zadarmo nie dają, ani marnować czasu nie pozwolą. Kto pracować nie chce czy nie umie, kto potrafi tylko spychać i zbywać obowiązki, tego tam nie głaszczą. Ale też i krzywdy nikomu nie robią. Kto umie być pilnym, starannym, kto zna prawdziwy posłuch, — temu wojskowe zajęcie nietylko wyda się lekkie, ale wnet w niem zasmakuje, polubi je.

Tylko kiepskiemu żołnierzowi jest w wojsku źle. Bo jest albo niedołęgą, co niczego nauczyć się nie może, albo też próżniakiem, który bez popędzenia niczego zrobić nie potrafi. Taki to zwykle opowiada najwięcej o wojsku, jak to tam źle, jak ciężko, jak młodych żołnierzy karzą, biją i t. d. Otóż nieprawda! W wojsku polskiem bić nie wolno i starszy, któryby żołnierza uderzył, idzie pod sąd. Ale też, jak kto zasłużył, to go kara nie minie, kara może gorzka, ale sprawiedliwa. Nic dziwnego, że wałkonie i próżniaki narzekają.

Nie święci garnki lepią, więc głowy do góry! Albośmy to jacy tacy, byśmy szli do wojska z nosem na kwintę?! Służba wojskowa — to piękna rzecz. To wam mówi stary żołnierz, możecie mi więc wierzyć.

Po.

Wiadomości polityczne.

Oświadczenie ks. Prymasa. Gazety opozycyjne, jak „Głos Narodu“ i „Gazeta poranna warszawska“ wydrukowały z początkiem grudnia nieprawdziwą wiadomość, jakoby księża biskupi i arcybiskupi zajęli na zjeździe swym w Warszawie nieprzychylne stanowisko wobec obecnego rządu. Wskutek tego kancelarja ks. Prymasa wystosowała przed kilku dniami pismo, w którem stwierdza, że wiadomość ta była zupełnie nieprawdziwa, a księża biskupi nie mają powodu do jakiegoś specjalnego występowania przeciw rządowi, lub też do popierania jednych stronnictw przeciw drugim. Z listu tego wynika dalej, że księża biskupi a z nimi i wszyscy duchowni mają przedewszystkiem obowiązek dbać o dobro kościoła, stojąc zdala od wszelkich waśni politycznych. Wszelkie łączenie się duchowieństwa z jedną partją polityczną musi wyjść na szkodę samemu Kościołowi.

Przewrót na Litwie Kowieńskiej. Na północ od Polski znajduje się niewielki kraj, mało co większy od naszego jednego województwa, zamieszkały przeważnie przez Litwinów, który nosi urzędową nazwę Litwy, choć jest to tylko mała cząstka dawnej Litwy złączonej Unją Lubelską z Polską. Po wielkiej wojnie ujęli tam rządy chrześcijańscy demokraci pod kierunkiem duchowieństwa litewskiego. Kierownicy tej maleńkiej Litwy w swojem zaślepieniu okazali się nieprzejednanymi wrogami wszystkich innych narodowości, gęsto Litwę zamieszkujących, a w pierwszym rzędzie Polaków. Kto był tylko innego zdania, aniżeli oni, prześladowali go na na każdym kroku. Toteż wybory, przeprowadzone ubiegłego lata wprowadziły do sejmu litewskiego większość nieprzychylną chrześcijańskiej demokracji, a sejm prezydentem obrał Griniusa. Wprawdzie i ten nowy rząd nie zaprzestał walki z Polakami, a nawet zawarł przymierze z bolszewikami, którzy mu obiecali pomoc w odebraniu Polsce Wilna, nie zadowolił jednak i tak zachłannych Litwinów. Toteż w połowie grudnia urządzono na niego zamach, zmuszono Griniusa do zrzeczenia się prezydentury, a na jego miejsce wybrano dawnego prezydenta Smetonę, który znów pousuwał niewygodnych mu ludzi, a otoczył się swoimi. I tak walka na Litwie o władzę toczy się dalej, a lud wskutek papierowej wojny z Polską cierpi niedostatek i coraz większa bieda przytłacza tamtejszych mieszkańców.

Przesilenie w Niemczech. W państwach parlamentarnych tylko ten rząd może się utrzymać przez czas dłuższy, który ma za sobą silną większość. Jeżeli ta większość z jakichkolwiek powodów się skruszy, rząd musi ustąpić, czyli podać się do dymisji. W Niemczech tworzyły taką większość dotychczas tak zwane stronnictwa środka, złożone głównie z trzech stronnictw: partji ludowej, demokratów i centrum katolickiego. Przeciwnikami rządu byli nacjonaliści, coś jak u nas narodowi demokraci i socjaliści. Ale te dwie grupy opozycyjne i siebie zwalczały również zacięcie. Dopiero w połowie ubiegłego miesiąca zjednoczyły się ze sobą celem obalenia rządu, na którego czele stał centrowiec, Dr Marks. I te dwa wrogie stronnictwa poparte przez komunistów obaliły gabinet Marksa. Zburzyć coś to i lada dureń potrafi, ale zbudować na to miejsce coś lepszego to często i mędrcowi się nie powiedzie. Toteż mają teraz Niemcy kłopot z utworzeniem nowej większości, a temsamem i nowego rządu. Nim to uczynią, upłynie dość dużo czasu tembardziej, że prezydent Hindenburg załatwienie przesilenia odłożył na styczeń.

KRONIKA.

Od Redakcji. Wszystkim, którzy nam nadesłali życzenia świąteczne i noworoczne, serdecznie dziękuiemy. W odpowiedzi na liczne zapytania zawiadamiamy, że druk powieści p. t. „Podróż naokoło świata“ ukończymy w 4 numerze „Roli“, poczem zaczniemy drukować nową powieść, która w najwyższym stopniu zainteresuje naszych Czytelników.

Od Administracji. Niniejszy numer przesyłamy wszystkim Czytelnikom. Następny numer otrzymają już tylko ci Czytelnicy, którzy nadeślą prenumeratę. Prosimy zatem o niezwłoczne wysłanie prenumeraty, aby uniknąć przerwy w dalszej przesyłce numerów.

Przy sposobności numeru noworocznego prosimy wszystkich Czytelników, aby jednali nam nowych prenumeratorów, aby „Rola“ mogła się doskonalić, a korzyści zaś z tego tylko sami Czytelnicy osiągną.

Wystawa drobiu. W pierwszych dniach grudnia odbyła się w Krakowie wystawa drobiu, gołębi, królików, psów, owiec i ryb. Wystawa obejmowała dziesięć działów, pomieszczonych w pięciu pawilonach. W dziale drobiu można było widzieć wspaniałe okazy ras krajowych i zagranicznych kur, indyków, panterek, bażantów, gęsi, kaczek, łabędzi i t. p. Dział ten liczył przeszło 500 okazów. Wspaniale przedstawiał się dział gołębi. Było tu 88 różnych ras podzielonych według lotu; razem wystawiono przeszło 1.000 gołębi. Osobny dział poświęcono weterynarji gospodarskiej, narzędziom gołębiarskim, literaturze i perjodycznym wydawnictwom, jak również szkodnikom i drapieżnikom. W dziale królików wystawiono gronostaje polskie, króliki srebrzyste, belgijskie olbrzymy, srokacze niemieckie, wiedeńskie niebieskie, barany francuskie i wiele innych odmian. W osobnym pawilonie widzieliśmy psy różnych ras, niektóre bardzo cenne (3.000 zł. za sztukę), owce zwłaszcza tatrzańskie, ryby z Zatora, Rzemienia i ze Stowarzyszenia rybaków krakowskich. Całość wystawy robiła bardzo dobre wrażenie. Szkoda tylko, że nie zorganizowano z pobliskich powiatów masowych wycieczek gospodarzy i gospodyń, którzy wiele cennych rzeczy mogliby się na takiej wystawie nauczyć.

Prace organizacyjne na wsi. Ze Skawinek w powiecie wadowickim piszą nam: Dnia 14 grudnia b. r. odbyło się tu zebranie organizacyjne Związku Zawodowych Rolników. Po referacie p. Lorenza zawiązał się Związek, a wszyscy obecni zapisali się na członków. Przeprowadzono wybory Zarządu w następującym składzie: prezes: Karol Marek, zastęp. prez.: Michał Głowacz, sekretarz Jan Biela, skarbnik: Stanisław Dyba; członkowie: Wincenty Wadowski, Karol Gołąb, Magdalena Ogarek. Zarząd zaraz po ukonstytuowaniu podjął energiczne usiłowania celem wyjednania dogodnych pożyczek hipotecznych na zapłacenie gruntów nabytych przy parcelacji obszaru dworskiego. Prezes: *K. Marek,* sekr.: *Jan Biela.*

Wszyscy nago! Sekty religijne rosną w Rosji jak grzyby po deszczu. Oto donosi teraz prasa sowiecka o powstaniu nowej sekty pod mianem „Adamistów“. Wzorując się na praojcu z raju, Adamiści chodzą nago. Przed kilkunastu dniami zjawiło się towarzystwo Adamistów złożone z 6 mężczyzn i 6 kobiet w najbardziej uczęszczanej restauracji i zawezwało publiczność do ściągania z siebie ubrań. Jedna z obecnych w lokalu kobiet nie posłuchała rozkazu, więc Adamiści rozebrali ją do naga i chłoszcząc, popędzili przed sobą po sali. W kilka dni potem powtórzyli to samo w teatrze,

zjawiając się tam w czasie przerwy. Dziwaczni sekciarze twierdzą, iż ubranie jest przeszkodą do doskonałości duszy, albowiem stwarza wstyd, który jest ojcem grzechu. Jest to jeszcze jeden dowód więcej, do czego może doprowadzić głupota ludzka.

Wybawca 511 ludzi. W Amsterdamie obchodził przed kilku dniami jubileusz 80 rocznicy swych urodzin Dorus Rijkers, znany w całym kraju pod nazwą „króla ratowników". Należał on od 55 lat do „pogotowia morskiego" i w ciągu tego czasu ocalił życie 511 osobom i uratował od zatopienia 42 okręty. Dorus Rijkers jest kawalerem wielu orderów krajowych i zagranicznych. Za szczególne zasługi, położone około ratowania okrętów niemieckich, otrzymał w podarunku od króla Fryderyka złoty zegarek, a od następcy jego Wilhelma II brylantową spinkę do krawatu.

Trzy lata zamknięty na strychu przez żonę. W Koblencji nad Renem wniosła pewna kobieta skargę o rozwód. Za powód podała opuszczenie ją w roku 1923 przez męża. Sąd był bliskim wyroku unieważniającego małżeństwo, bo miejsce pobytu małżonka było nieznane. W tych dniach mieszkańców miasta zaelektryzowała wiadomość, że „uciekiniera" znaleziono zamkniętego od trzech lat na strychu. Śledztwo policyjne wykazało bliższe szczegóły tajemniczego zniknięcia małżonka. Małżeństwo zostało zawarte w roku 1919 i od tego czasu rozpoczęły się kłótnie, wywołane lenistwem nałogowem męża. W cztery lata później po wielkiej kłótni małżeńskiej, żona zamknęła męża na strychu, gdzie leniwy człowiek odpoczywał przez trzy lata na sianie. Przez cały przeciąg trwania małżeńskiego więzienia żona podawała mężowi normalne pożywienie. Ze względu jednak na utrzymanie tajemnicy, „troskliwa" połowica nie przysłała więźniowi fryzjera. W chwili więc, gdy któryś z sublokatorów odkrył tajemnicę strychu, więzień miał włosy długie po pas, twarz zupełnie zarosłą, a paznogcie długie na pięć centymetrów. Policja po uwolnieniu małżonka z zamknięcia, odwiozła go do szpitala, gdyż badanie lekarskie ustaliło pomieszanie zmysłów. Okrutną żonę przyaresztowano i grozi jej kara kilkuletniego ciężkiego więzienia.

Wśród drapieżców. Wielka firma, prowadząca w Liverpoolu hurtowny handel dzikiemi zwierzętami, oprócz właściwego zwierzyńca miała jeszcze dobudówkę, do której dostać się można było dopiero po przebyciu bardzo długiego podwórza. Warta zmieniała się tam co tydzień i była pod ciągłą kontrolą. Pewnej nocy wszedł do zwierzyńca dozorca, na którego w tym tygodniu przypadał obowiązek pilnowania. Obszedł on cały zwierzyniec i patrzył na to, jak w poszczególnych klatkach dzikie zwierzęta poruszały się niespokojnie: hjeny, pantery, małpy, lwy — wszystko to uwijało się nerwowo po klatkach, W dobudówce znajdowały się tylko drapieżne zwierzęta. Ku zdziwieniu dozorcy jedna z klatek stała w przejściu. Dozorca rzucił bat i postawił latarnię na ziemi, chcąc zabrać się do doprowadzenia owej klatki do porządku; w klatce znajdował się przepiękny lampart. Zanim jednak dozorca zdołał cośkolwiek zrobić, usłyszał za sobą dziwny szmer i ku strasznemu przerażeniu spostrzegł za plecami tuż, tuż wielkiego niedźwiedzia. Trzeba było za wszelką cenę uciekać, bo inaczej śmierć. O ulokowaniu się na wierzchu którejś z klatek ze zwierzętami nie było mowy, bo znajdujące się w nich lwy, tygrysy czy lamparty napewnoby dozorcę rozszarpały. A tu już tylko kilka metrów dzieliło biedaka od czyhających nań pazurów rozjuszonego niedźwiedzia. Nagle oko dozorcy padło na znajdującą się obok drabinę; czemprędzej skoczył ku niej, wbiegł szybko aż do jej szczytu i wtedy dopiero spostrzegł, że prowadziła ona do sztab żelaznych, podtrzymujących dach dobudówki: sztaby te zbiegały się w środku, złączone gzymsem o szerokości 15 centymetrów. Dozorca dobiegł do tego gzymsu, stanął na nim, uprzednio odepchnąwszy drabinę, po której szedł już za nim niedźwiedź. Od ziemi do gzymsu było 4 metry. O tem, żeby tę przestrzeń przeskoczyć, niedźwiedź nie mógł nawet pomyśleć. Ale dla dozorcy teraz dopiero rozpoczęły się męki niewypowiedziane. Bojąc się, że każdej chwili może spaść z tego wąziutkiego gzymsu, dozorca chwycił go konwulsyjnie rękoma, wpił wprost w niego paznokcie i czekał w nadziei, że przecież ktoś nadejdzie i wyzwoli go. Ręce i nogi odmawiały już posłuszeństwa, czuł, że lada chwila spadnie z gzymsu bez sił, a tu płynęły minuty jedna za drugą i cała godzina tych strasznych mąk ubiegła, a nikt nie przybywał. Dozorca czuł, że lada chwila spadnie i ogarnął go już przedśmiertelny lęk. Nagle stała się rzecz dziwna; niedźwiedź wściekły, że mu się dozorca wymknął, przewrócił z gniewu klatkę, dzięki czemu wydostała się uwięziona w niej tygrysica. Zaczęła się straszna walka między obu drapieżnikami; niedźwiedź chwycił tygrysicę za szynkę i wyrwał jej połać mięsa.



Rozwścieczona tygrysica odgryzła mu za to najpierw lewą część, a później resztę głowy. Mimo ciężkiej rany zabrała się zaraz do uczty. Dozorcy ubył jeden wróg, lecz na jego miejsce stanął inny, niemniej okrutny, rozjuszony dokuczliwą raną. Ale tymczasem, w ostatniej niemal chwili, przyszło wybawienie: w budce dozorcy czekał nań długo jego przyjaciel, a nie mogąc się doczekać poszedł do zwierzyńca. Zobaczywszy co się dzieje, zrozumiał, dlaczego czekał, zastrzelił tygrysicę i wybawił dozorcę. Ten zapytany o wrażenia powiedział, że ostatecznie nie było to bardzo straszne, ale drugi raz nie chciałby już tego przeżywać.

Ceny maksymalne na kobiety. Duchowieństwo i starszyzna miasta Prizrenu w Jugosławji miała niedawno bardzo doniosłą konferencję. Chodziło o zastanowienie się nad sposobami walki z wzrastającą drożyzną ...kobiet. Na konferencji tej starzy doświadczeni „mufti" wygłosili bardzo ciekawe referaty, dowodząc, iż wysoka cena kobiety jest objawem nader groźnym. Trzeba bowiem wiedzieć, iż w okolicach Prizrenu panuje dość dotkliwy brak kobiet, a dlatego młodzi ludzie, chcąc się ożenić, muszą za żonę płacić dość wysokie sumy. Cena kobiety waha się zazwyczaj między 15 do 20.000 dynarów, ale ostatniemi czasy zdarzało się też, że rodzice ładniejszych dziewcząt żądali za swe córki sumy znacznie wyższej, dochodzącej często do 30.000 dynarów. Ponieważ zaś młodzi ludzie rzadko kiedy mogli tak wy-

górowane ceny płacić, a z małżeństwa rezygnować nie chcieli, przeto poprostu dziewczęta takie unosili. Porwane dziewczyny mają jednak po większej części już swych oficjalnych narzeczonych, którzy złożyli pewien zadatek i wobec tego nie zamierzają ze swej przyszłej żony rezygnować. Ponieważ ponadto w okolicach Prizrenu panuje stary zwyczaj t. zw. zemsty krwi, przeto dochodzi tam na tem tle bardzo często do ohydnych mordów. Na odbytej w tych dniach konferencji duchowieństwa prizreńskiego postanowiono wyznaczyć na kobiety cenę maksymalną, by w ten sposób dać możność każdemu mężczyźnie kupienia sobie żony. Szczęśliwe dziewczęta tamtejsze, jeżeli rozchodzi się o samo małżeństwo, ale biedne, jeżeli weźmiemy pod uwagę ich późniejsze pożycie małżeńskie.

Biada starym pannom! W ubiegłym roku w samym Paryżu popełniło samobójstwo 149 starych panien w wieku od 40 do 50 lat. Jak stwierdza jeden z uczonych paryskich były to ofiary dążenia do niezależności życiowej. Chciały one same sobie dawać radę w życiu, nie stworzyły ognisk domowych, nie wsparły się na silnem męskiem ramieniu w wędrówce po wertepach życiowych i dlatego zginęły śmiercią samobójczą. Póki trwa młodość, entuzjaym podtrzymuje siły kobiet niezależnych, ale przychodzi najniebezpieczniejszy wiek „po czterdziestce“, życie staje się puste bez miłości, przyjaźni i macierzyństwa. „Strzeżcie się, kobiety! — pisze ów uczony. — Choroba samotności jest śmiertelna! Nie walczcie z przeznaczeniem, które nadało wam szczytną rolę żon i matek. Wyrzeknijcie się niefortunnych marzeń o przesadnej samodzielności. Złóżcie broń przed mężczyzną“... Trzeba tu jednak dodać, że nie zawsze winę ponoszą kobiety. Niejedna z nich chętnie wyszłaby za mąż, (o i bardzo chętnie), cóż kiedy się nikt o jej rękę nie stara, chociaż nie brak jej urody, a posiada zalety, które czyniłyby ją dobrą żoną i matką.

Bohaterska śmierć nauczycielki. Za granicą uważają Polskę jeszcze do dziś dnia za jakiś kraj na pół dziki, w którym wszystko jest możliwe. Wprawdzie w niektórych okolicach lud nasz jest jeszcze bardzo ciemny, mało kto umie czytać i pisać, brak szkół, słowem panują tam stosunki na pół azjatyckie. Nie nasza to jednak wina, ale naszych zaborców, którzy tłumili na naszej ziemi wszelką oświatę, aby lud nasz nie zrozumiał swej niedoli i nie zrzucił gniotącego go jarzma. A przecież nawet w takich okolicach nie zdarzyłoby się nic podobnego, co się zdarzyło w zapadłej wiosce hiszpańskiej Turedos. Oto do wioski tej przybyła nowa nauczycielka ludowa, która z całej duszy zapragnęła krzewić oświatę wśród tamtejszych włościan w miarę swoich sił i wiadomości. Należy zaznaczyć, iż we wsi tej istniała już przedtem szkoła, ale z powodu niechęci ludności na czas jakiś musiano ją zamknąć. Toteż biedna krzewicielka oświaty miała twardy orzech do zgryzienia. Zwłaszcza z ogromną niechęcią patrzyła ludność na jej zapędy hygieniczne. Walka z brudem, którą przedsięwzięła na terenie szkolnym, spotkała się z energicznym protestem gminy. Dzielna dziewczyna umiała jednak postawić na swojem. Dzieci musiały nietylko myć się, ale nawet — o zgrozo! — kąpać się i to przynajmniej raz na miesiąc. Takich „potworności“ nie pamiętali najstarsi ludzie okolicy. Nauczycielka narażona była na nieustanne przytyki, nagany i szykany. Nie zrażała się jednak niczem i dalej trwała na posterunku. Nieszczęście chciało, iż w rok po przybyciu nauczycielki wybuchła we wsi szkarlatyna, porywająca zwłaszcza dzieci. Zrozpaczeni rodzice, oddawna już uprzedzeni do nowatorki, odrazu winę jej przypisali.

— To ona sprowadziła chorobę na nasze dzieci! — wołano obłudnie. — To jej djabelskie praktyki są winne nieszczęściu!

Od tego był już jeden tylko krok do uznania biednej ofiary czarownicą. Jedna z wieśniaczek, której choroba porwała troje dzieci, okrzyknęła nauczycielkę wiedźmą i pociągnęła za sobą łatwowierny, zabobonny i rozdrażniony tłum.



Wyciągnięto nauczycielkę ze szkoły, skrępowano ją i powleczono na plac przed kościołem, gdzie mimo perswazji księdza, który starał się uspokoić rozjuszonych wieśniaków, czemprędzej zbudowano stos i umieszczono na nim biedną dziewczynę. Zginęła w najstraszliwszy sposób w płomieniach, jako prawdziwa bohaterska ofiara obowiązku, jako wzór idealnego samozaparcia. Wieśniakom wytoczono proces, kilkunastu z nich uwięziono, ale to nie przywróci życia biednej nauczycielce.

Trudne warunki. Pewien miljoner kanadyjski, nazwiskiem Back, posiada 19-letnią córkę Alicję, która jest przedmiotem westchnień wielu młodzieńców. Back nie chce jednak, aby jedynaczka niepotrzebnie marzyła o młodzieńcach, pragnąc zaś otrzymać dzielnego i zdrowego zięcia, przybił na drzwiach swego domu następujące ogłoszenie:

„Aby uzyskać rękę mej córki wraz z 3 miljonami dolarów, należy przejść 7 prób: 1. Przyszły zięć musi odbyć pieszo w ciągu jednej doby wycieczkę 40-kilometrową; 2. objuczony ciężarem 140 funtów musi przepłynąć 2 mile angielskie; 3. na odległość 100 kroków winien trafić każdego wróbla w głowę; 4. o północy pójść musi do trupiarni i spędzić samotnie jedną godzinę; 5. udowodnić musi, iż w ciągu trzech ostatnich lat nie wypił ani jednego kieliszka alkoholu; 6. przynieść musi świadectwo od trzech wiarygodnych kobiet, iż ma kwalifikacje na dobrego i czułego męża; 7. musi pracować w moim kantorze przez cały rok i żyć przyzwoicie za 20 dolarów tygodniowej pensji. Rzeczywiście trudne warunki do wykonania.

Dlaczego kot męczy mysz? Wiadomo, że kot, zanim pożre mysz, najpierw męczy ją przez czas dłuższy. Zdawałoby się, że czyni to dla zabawy, a tymczasem tak nie jest. Przynajmniej tak twierdzi uczony niemiecki Dr Jaegermann, który powiada, że wszelki strach napawa każde stworzenie zapachem dziczyzny, a mięso jego staje się kruche. Wiedzą o tem drapieżne zwierzęta, które przed zamordowaniem ofiary, męczą ją wprzód śmiertelnie a potem dopiero pożerają. Tak czyni tygrys, pantera, kot a nawet mrówki i pająki. Dr Jaegermann czynił liczne doświadczenia na królikach, gołębiach i innych zwierzętach domowych. Wytwarzał w ich organizmie zarazki znużenia a potem je zabijał. Mięso ich było wtedy wyśmienite i posiadało smak dziczyzny.

RZECZY CIEKAWE.

Zapoznane zwierzęta.

Chcąc wyrazić odwagę nadzwyczajną czy człowieka czy zwierzęcia, mówimy nieraz, że jest odważnym jak lew, atoli w stosunku do swej wielkości, siły i uzbrojenia lew daleko nie jest tak odważnym jak lis, świnia, a nawet owca. Naprzykład baran jest tak odważnym, że niema zwierzęcia, któremuby nie próbował stawić oporu, i bronić swą trzodę owiec tak przeciw najdzikszym psom jak i przeciw ludziom. Walka dwóch baranów jest też widowiskiem nawskróś przejmującem i kończy się prawie zawsze śmiercią jednego z nich. Tak samo odważnym jest także dzik (dzika świnia), o którym twierdzą znawcy, że to jest jedyne zwierzę, które ma odwagę pić wodę z jednego źródła równocześnie z tygrysem. Bardzo zapoznanym jest także osioł, w którym się wielu dopatruje szczytu głupoty, zupełnie niesłusznie. Osioł jest zazwyczaj mędrszy od konia. Wpuszczony do ogrodzenia z pewnością już po krótkim czasie potrafi usunąć kołek, którym są drzwi zatknięte, podczas gdy koń długo biegać będzie wzdłuż ogrodzenia i może ani nie znajdzie wyjścia. Koń, zaczepiony przez dzikie zwierzęta, ratuje się natychmiast ucieczką, osioł zaś wyszukuje sobie w takim razie dobre miejsce i broni się zajadle kopytami. — Niedźwiedź uchodzi za bardzo dzikiego, a tymczasem prawie bez wyjątku jest jednem z najweselszych zwierząt i da się łatwo ułaskawić, byleby się z nim dobrze obchodzono. O nietoperzu mówi się, że jest on ślepym, a tymczasem widzi on tak świetnie, że dojrzy na znaczną odległość nawet najmniejsze owady i nie zabłądzi w największej ciemności.

Strzelające ryby.

Są ryby, które do owadów strzelają według wszelkich prawideł łowieckich, aby je pożreć. Te strzelające ryby napotykamy w wodach Indyj Zagangesowych, wodach Indochin, północnej Australji, Nowej Zelandji i Polinezji. Jako pocisków używają kropel wody, które rzucają z taką siłą, że owad ugodzony zostaje oszołomiony, pada na powierzchnię wody i zostaje przez rybę pożarty. Kroplę wody wyrzucają z ogromną siłą na odległość blisko metrową z podziwu godną celnością. W sposób łowiecki czekają na ofiary, ukryte gdzieś w zaroślach wodnych. Ryba poluje w ten sposób, że najpierw płynie w wodzie w linji poziomej blisko powierzchni, a dostrzegłszy owada, stara zbliżyć się do niego jaknajprędzej, kryjąc się w trawie lub sitowiu. Gdy odległość do strzału jest odpowiednią, przyczaja się, mierzy i kroplę z zamkniętego mocno pyszczka jak z pukawki wyrzuca. Chińczycy, którzy interesowali się zawsze przyrodą, chowają je w akwarjach i dla zabawy podają im owad na patyczkach, który ryba celnym strzałem zrzuca do wody.

Szesnaście miljonów burz rocznie.

Prof. Talman, szef biura meterologicznego Stanów Zjednoczonych oblicza, na podstawie danych statystycznych, zebranych na całym świecie, że naszą kulę ziemską nawiedza 16 miljonów burz rocznie i że 360.000 błyskawic na godzinę przelatuje po niebiosach w różnych częściach świata. Według tych samych danych, burze wyrządzają na ziemi szkody materjalne, sięgające 160 miljonów dolarów, z drugiej wszakże strony płynie z nich także korzyść wielka. Tak np. jeden z meteorologów francuskich oblicza, że w samym Tonkinie nawałnice, zraszając ziemię ulewami, przynoszą rocznie rolnikom tamtejszym 160.000 dolarów w zysku.

Łzy słonia.

W zoologicznym ogrodzie w Nowym Jorku urządzono koncert dla dzikich zwierząt. Skoro zagrano marsza, zwierzęta mocno zaniepokoiły się i okazywały zniecierpliwienie. Powoli jednak oswajały się z muzyką, a następnie zaczęły na nią reagować. Dwa lwy, którym rzucono kawał mięsa, przerwały jedzenie, zmrużyły oczy i uważnie wsłuchiwały się w muzykę, słoń podniósł trąbę do góry, a z oczu jego padały łzy. Tygrysy i wilki ułożyły się na ziemi, a w oczach ich widać było zachwyt. Skoro zagrano walca Straussa, lew począł wymachiwać w takt ogonem, a dwa niedźwiadki w walcowem tempie maszerowały po klatce. Natomiast marsz żałobny Chopina spowodował niesamowite ryki zwierząt.

Loterja zwierzęca w Brazylji.

Brazylja jest krajem graczy i ludzi lubiących łatwy zarobek. Wynika to po części stąd, że o ile w kraju tym łatwo o duży zarobek, o tyle wcale nie jest powiedziane, że zarobek ten można osiągnąć żmudną pracą. Na znajomości charakteru i słabostek Brazylijczykow zbudowany jest cały przemysł loteryjny, posługujący się zręczną reklamą i czyniący grę dostępną dla szerokich mas. Najpierw więc istnieje w każdym prawie z dwudziestu stanów loterja państwowa, prócz tego jedna ogólna loterja wszystkich stanów razem. Losy rozpowszechniane są wszędzie i ludzie nie ograniczają się do loterji stanu, który zamieszkują. Niema dnia bez ciągnienia, a niekiedy jest kilka dziennie. Sprzedaż losów odbywa się w sklepach i specjalnych kantorach, głównie jednak kwitnie sprzedaż uliczna. Używa się do niej dzieci, umiejących być tak natrętnemi, że wtykają przechodniom do kieszeni losy i towarzyszą im tak długo, póki znudzony przechodzeń choćby dla odczepki nie zapłaci pewnej sumy. Wygrane są stosunkowo niskie, wahają się bowiem od 10 do 20 reisów. Raz w miesiącu daje każda loterja większą wygraną w sumie 100, 200 i 500 reisów. Bardziej może rozpowszechnioną od loteryj państwowych jest tak zwane „Bicho“, słowo oznaczające w języku portugalskim „dzikie zwierzę“. Gra powstała przez pomysłowość właściciela wędrownej menażerji. Podzielił on liczby od 1 do 100 na grupy po cztery i każdej grupie nadał nazwę jednego ze swych zwierząt. Wygrywają ostatnie liczby numeru, który osiągnął najwyższą wygraną na loterji państwowej. Gracze stawiają na poszczególne grupy. Istnieją pozatem liczne kombinacje, np. o ile jedna i ta sama grupa wygra dzień po dniu, to stawiający otrzymuje podwójną sumę, można stawiać na dwie ostatnie i dwie pierwsze cyfry dwóch grup it.d. Ciągnienie odbywa się codziennie o 4 popoł. i wygrane są na miejscu wypłacane. Gra ta, na którą ludzie wysprzedają się niekiedy „do koszuli“, jest przez rząd zakazana, ale przez to może właśnie ma ogromne powodzenie. Ma ona zresztą i inne przyciągające właściwości. Najpierw można stawiać każdą sumę, następnie wygrana jest wypłacana odrazu, wreszcie wygrane są częstsze i większe, gdyż przedsiębiorcy nie płacą podatków. Wszelkie usiłowania policji, aby wytępić loterję, są bezowocne.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Pp. Juljan **Kwolek** w R.: Opis ostatnich dni życia młodego poety przeczytaliśmy ze wzruszeniem. Ilużto szlachetnych jednostek zabrała nieubłagana wojna! Wierszyk jego zachowamy na pamiątkę z naszych zbiorach, drukować go jednak nie możemy, gdyż jest on obecnie nieaktualny. — Jan **Cetera** w K.: Realizacja myśli p. Kapuścińskiego nie zależy od nas, ale od Czytelników. Nowelki zamieścimy w najbliższych numerach. Obecnie będziemy mogli dawać więcej utworów naszych współpracowników, gdyż „Rola" z numerem dzisiejszym staje się tygodnikiem. — **Maryśka** z Kamionki. Wierszyk: „Jak nie kochać" zamieścimy. Wspomnienia pośmiertnego wierszem o śp. Świradzie nie wydrukujemy, jakkolwiek jest dobre, gdyż nie zainteresowałoby tych czytelników, którzy go nie znali. — D. **Lesiowski w W.**: Wiersze i nowela dobre, zamieścimy. — Zygmunt **Osuchowski** w O.: Nie napisał Pan na jakiem umieszczeniu mu zależy. Moich utworów mam sam, niestety, tylko po jednym egzemplarzu. — W. **Byczek** w K.: Prosimy o cierpliwość. Trudno wszystkie nadsyłane utwory natychmiast drukować. Maciek Bzdura, to jest Maciek Bzdura, ot i tyle tylko możemy o nim powiedzieć. — Władysław **Bienias** w J.: Artykulik zupełnie dobry, lecz do 1 n-ru przyszedł już zapóźno, do dalszych nie nadaje się. Wierszyk dobry. — Wojciech **Prokuski** w S. B.: Prenumeratę otrzymaliśmy, jednak na pół roku wynosi nie 6 zł, lecz 6.50 zł. — St. **Jedlecki** w J.: Prenumeratę całoroczną otrzymaliśmy, dziękujemy. — Piotr **Lipowiak** w L.: Obrazek otrzymaliśmy — dziękujemy. — Józef **Oleksy** w S.: Coraz więcej ludzi myśli podobnie, jak Pan. I słusznie, bo wyzwiskami i szkalowaniem ludzi nie wywalczy się dobrobytu dla rodaków. Za słowa uznania i życzenia serdecznie dziękujemy.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 28 grudnia b. r.

Pszenica	52·50—53·50	Słoma długa	5·00— 6·00
Żyto	41·00—42·00	Ziemniaki stoł.	0·00—00·00
Owies	30·00—31·00	Koniczyna na-	
Jęczmień	34·00—35·00	sienn. czer.	420·00—450·00
Groch zwyk.	52·00—55·00	Mąka pszen.	90·50—91·50
Fasola biała	53·00—57·00	Mąka żytnia	62·00—63·00
Łubin żółty	31·00—32·00	Otręby żytnie	00·00—00·00
Siano słodk.	10·00—12·00	Otręby pszen.	26·00—27·00
Koniczyna	13·50—15·50	Pęcak zwycz.	49·00—50·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Giełda pieniężna. Złoty polski ustabilizował się i nie podlega większym wahaniom. Za dolara płacą nadal około **9 złotych.**

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Leon Kołek z Międzybrodzia Bialskiego 80 gr., Władysław Przybyłowicz z Szarleja 2 zł., Wawrzyniec Przybyłowicz ze Starego Sącza 1 zł., Robert Rydz z Bochni 2 zł., Leon Łętowski ze Strażowa 50 gr. na nową czapkę dla Maćka Bzdury, Franc. Chmiel z Pantalowic 1·10 zł.

Przy przesyłaniu prenumeraty, o ile jest więcej jak jedna, prosimy wyszczególnić dla kogo prenumerata jest przeznaczona. Również prosimy o wyraźne pisanie adresów, szczególnie nazwisk przy prędkiem wyrobionem piśmie.

Zagadki do nagrody.

1. Arytmogryf.

(Ułożyła Siostra Imelda z Wilna).

1	2	3	1	4	5	6	Miasto w Ameryce.
2	4	7	8	9	10	5	Port niemiecki.
3	11	4	8	12	13	4	Imię żeńskie.
1	11	12	14	3	12	1	Nakrycie głowy.
4	10	4	8	15	16	3	Półwysep w Azji.
5	4	10	17	9	1	2	Szczyt w Tatrach.
6	5	10	6	18	11	1	Jama w skale wapien

Początkowe litery wyrazów, czytane z góry na dół i końcowe czytane z dołu do góry dadzą miasto w Ameryce.

2. Szarady.

(Ułożył Rudolf Kula z M. K.).

I.

Walenty! Mówiłem drugiej, piątej, ażeby cię ostrzegła, że pierwsza, trzecia, czwarta nadchodzi: a ty nic i ona nic! Jesteście obydwoje trzecie piąte. Bo tymczasem piąte, drugie sposępniało drugie wspak, trzecie, czwarte, piąte tak silne, że pierwsze trzecie ucierpiały. Oto są następstwa opieszałości: straty i basta. Jak o tem pomyślę, to mam ochotę na czwarte, trzecie i piąte! Cóż mi zresztą pomoże całość po niewczasie!!

II.

(Ułożył Jan Patulski z Sokołówki).

Pierwszy, drugi gospodyniom
Znana dobrze to roślina,
Pierszy trzeci koń i nie koń,
„K" je kończy, „k" zaczyna.
Całość polski mąż uczony
Przez świat cały z dawna czczony.

III.

(Ułożył Jan Piwowoński).

Pijąc pierwszą i drugą,
Druga trzecie i pierwsza
Wzdycha: „Czemuż nie całość
Jest w „Roli" zamiast wiersza".

3. Przestawianka.

(Ułożył Jan Piwowoński).

Z podanych liter ułożyć znane z „Roli" zdanie:

A, a, a, b, c, d, d, e, g, i, k, m, r, u, z.

Rozwiązanie zagadek z N-ru 6 „Roli": I. Logogryf: Babie lato. II. Szarady: 1. Kapusta, 2. Fasola. III. Zagadka: Róża. IV. Figielek zapałkowy: Zostaje duży zewnętrzny i mały wewnętrzny kwadrat.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Szczepan Prorok z T., Władysław Bienias z J., Stanisław Jachowicz z G., Wawrzyniec Rzepka z O., Józef Wróbel z T., Leonard Bogdański z J., Ignacy Kuliński z W., Franciszek Kuliński z Z., Bolesław Gamon z Z., Józef Rylewicz z T., Józef Gąsior z S., Adam Tworek z S., Wincenty Flis z L., Franciszek Kowalcze z Ł., Antoni Dudziak z P., Andrzej Grzegorzek z U., Piotr Lipowiak z L., Tomasz Wójcik z T. R., Alojzy Masny z W., Sala Szturmówna z Ś., Leon Łętowski z S., L. Szczepanik z C., Władysław Bujak z B., Franciszek Rusek z I., Władysław Ptasiński z B., Florjan Ciebiera z Rz., Marjan Walas z K., Jan Półtorak z K., Jan Patulski z S., Jan Czader z S.

Nagrody wylosowali pp.: Tomasz Wójcik z T. R. i Leon Łętowski z S.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Na słowo.

Sędzia: To on wam tylko powiedział: głupi, ale tego nie napisał.

Oskarżyciel: Ja mu, proszę pana sędziego uwierzyłem na słowo.



Bez sumienia.

Sędzia do włóczęgi posiadającego czarną brodę:

— Twoje sumiente musi być tak czarne, jak twoja broda.

Na to włóczęga: — To pan sędzia, nie mając brody, niema zapewne sumienia.



O to właśnie idzie.

Kasia: Proszę też jegomości, aby nam już raz dali ślub.

Ksiądz: No, ale kiedy twój narzeczony ciągle pijany.

Kasia: W tem właśnie rzecz, bo jak będzie trzeźwy, to się nie ożeni.



Trafna odpowiedź.

Dwóch pijanych mieszczan wzięło chłopka między siebie i pytają:

— Powiedzcie tatusiu, czyście jest osieł czy głupiec.

— Tego nie wiem — odpowiada chłopek — ale stoję między jednym a drugim.



Odgadł...

Nauczyciel: Pierwszy wóz wyjechał o dwie mile przed drugim, ale drugi jedzie prędzej — gdzie się spotykają?

Uczeń: W karczmie.



Sam nie wie.

— Czy macie żonę?

— Cy ja mam żonę to sam nie wiem, ale ze ona mnie ma to wiem dobrze.



Domyślny!...

— Mamusiu, czy ludzie w ziemi się rodzą?

— A to dlaczego?

— A bo stryk powiadali do tatusia: A skądżeś taką babę wykopał.

